MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 46. WARSZAWA, 29 PAŹDZIERNIKA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

SIŁY MORALNE

W JEDNYM z ostatnich numerów poważnego francuskiego miesięcznika wojskowego „*La France Militaire*" ukazał się artykuł pułkownika Lebaud, mogący na pierwszy rzut oka wywołać pewne zdziwienie swym tytułem: brzmi on bowiem „Dociągnijmy nasze siły moralne do wysokości środków materjalnych". W kilkanaście zaledwie lat po wygranej przez Francję, największej wojnie w historji świata hasło takie może istotnie wydać się dziwnem; przecież naród francuski w tych strasznych latach próby wykazał chyba dość sił moralnych, dosyć bohaterstwa i raczej jego zasoby materjalne, jego techniczne przygotowanie do wojny nie stało na wysokości zadania?

Pułkownik Lebaud nie zapoznaje bynajmniej zalet Francuzów, zdaje sobie zupełnie sprawę z tego, iż, jak się wyraża, w duszy narodu tak starej cywilizacji nagromadzone są potężne zasoby odporności moralnej i zdolności sprostania ciężkim sytuacjom. Nie mniej wie również dobrze o tem, ile Francję kosztowało to poleganie na zdolnościach „improwizacyjnych", zaniedbanie ekwipunku materjalnego i daje dziś wyraz trosce o to, żeby nie nastąpił wypadek odwrotny, mianowicie uśpienie energji moralnej przy zbytniej ufności w istniejące dziś dobre zaopatrzenie materjalne armji. Bo najsilniejsze fortyfikacje i najlepsze działa i czołgi nie pomogą, jeżeli zabraknie załóg czujnych i przeświadczonych o tem, iż decyduje nie maszyna, lecz jakość człowieka, który nią kieruje.

Poparcie, jakiego doznawała ze strony opinji francuskiej polityka abdykacji, prowadzona przez Brianda i jego zwolenników, świadczy o pewnem znużeniu, jakie padło na naród francuski po olbrzymim wysiłku wojny i stracie prawie dwu miljonów ludzi w samych tylko zabitych. Jeżeli do tego znużenia, jako podłoża, dodamy wytężoną propagandę pacyfistyczną, prowadzoną przez całą lewicę, i nietylko przez lewicę, na wszystkich odcinkach, od szkółek elementarnych począwszy, to nie wyda nam się, żeby apel płk. Lebaud był zbyteczny, lub nie na czasie. A zwrócić nań uwagę trzeba, bo przecież położenie jest coraz groźniejsze i pytanie, jak dalece jesteśmy moralnie i materjalnie gotowi, staje przed nami coraz natarczywiej.

Rzecz oczywista, że nie będziemy tu wygłaszać sądów o przygotowaniu materjalnem. Nie mamy do tego żadnej kompetencji. Jednak porównywając ogólne zasoby obu krajów, można przypuszczać, że nasze materjalne, techniczne zaopatrzenie wojenne nie jest wyższe od francuskiego. Skoro zatem przedstawiciel armji, stanowiącej jądro sił, które powaliły największą militarną potęgę świata, armji, zaopatrzonej w udoskonalony materjał bojowy i osłoniętej systemem fortyfikacyj, będących ostatnim wyrazem tej gałęzi techniki, wyraża zaniepokojenie o stan moralny narodu, to u nas stan ten powinien być pielęgnowany z tem większą troskliwością. To chyba nie ulega wątpliwości.

Agitacja pacyfistyczna nie ma powodzenia w społeczeństwie polskiem. Nikt z nas nie myśli o wojnie zaczepnej, ale nie mają odwagi występować u nas publicznie ludzie, utrzymujący, iż nie mogą pogodzić wojny choćby obronnej z ludzkiem sumieniem. Tak czułe dla siebie i wroga sumienie nie znajdzie u nas ani uznania, ani naśladowców; z tej strony jesteśmy bezpieczni. Ale to przecież nie wystarcza: do osiągnięcia energji zbiorowej trzeba jeszcze zlania się wszystkich dążeń w jedno, trzeba prawdziwej jedności narodu, zwłaszcza u nas,

gdzie ta jedność musi być tak silna, żeby była w stanie nakazać posłuch elementom obcym. Rok 1920 wykazał, że mimo wszystkie, dzielące nas różnice możemy się na taką jedność zdobyć; czy teraz wszystko stoi równie pomyślnie? Trudno obronić się obawie, że dzisiejsze nasze stosunki wewnętrzne taką jedność w przyszłości uniemożliwią.

W prasie sanacyjnej komentowana jest szeroko (ob. „Kurjer Poranny") wiadomość o emigracji Wincentego Witosa i kilku jego przyjaciół. Jest to pierwszy w niepodległej Polsce wypadek emigracji politycznej i zasługuje niewątpliwie na uwagę. Kto w tym wypadku poczuł się zmuszony do wyjazdu z kraju, do chronienia się poza granicami Polski? Nie zamierzam pisać tu apologji Wincentego Witosa i jego dość już długiej karjery politycznej, w której nie brak momentów pięknych, począwszy od przeciwstawienia się korrupcji ruchu ludowego przez rządy austrjackie i zdegenerowany konserwatyzm krakowski. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że Witos jest wiernym, a bynajmniej nie tuzinkowym reprezentantem chłopa polskiego, z jego zaletami i wadami, dalekiego od jakiejkolwiek anarchji, przeciwnie, wyrabiającego się na świadomego celów i środków gospodarza ziemi polskiej. Czy wyjazd zagranicę przywódcy nie zrodzi w masach, które za nim szły, myśli, że w Polsce niema miejsca dla chłopa, że jak ongiś jest on tylko materjałem roboczym i podatkowym, i jak to wpłynie na upragnioną jedność narodu?

Niepodobna też przejść do porządku nad wypadkami, których formalnym finałem są odbywające się obecnie w Małopolsce masowe procesy chłopskie. To przecież nie są błahe zaburzenia spokoju publicznego, lecz poważne, jak to uznał sąd, rewolty ludności, nurtowanej widocznie przez jakieś głębsze prądy niepokoju i niezadowolenia. Błahe powody, z jakich te rewolty wybuchały, nie powinny zasłaniać widoku na powagę sprawy, a raczej ją uwypuklać.

Źle musi być z nastrojem ludności, skoro jakiś banalny zakaz strzelania na wiwat podczas procesji (*nb.* zakaz ten nie bardzo jest zrozumiały) doprowadza natychmiast ludzi do takiej pasji, że rzucają się na policjantów z kołami, dopadłszy ich, zabijają, a potem całe wsie wyruszają na oblężenie posterunku policji. Czy w takim wypadku represja sądowa będzie dostatecznem załatwieniem sprawy, czy nie należy jednak pilniej przysłuchać się temu, co mówią oskarżeni? Bo inaczej, jakże mamy mieć pewność tej siły moralnej, wypływającej z poczucia jedności?

Jeden z wybitniejszych generałów obecnego *régime*'u na publicznym odczycie podkreślił niedawno zupełnie słusznie konieczność bliskiego i ciepłego stosunku społeczeństwa do armji, do żołnierza, konieczność niezbędną dla stron obu. Interpretując znaną zwrotkę z pieśni „Pierwszej Brygady", wyjaśnił, że nie zawiera ona wyrzeczenia się przez żołnierzy „uznania", lecz żal i zawód, że tego uznania nie znajdują. Wyraził przy tem zdanie, że tego uznania i dziś jest zbyt mało i przytaczał przykłady. Przed paru dniami znów czołowy publicysta rządzącego obozu pisał o „osamotnionym obozie marszałka Piłsudskiego" i podkreślał ciężar odpowiedzialności, z takiego osamotnienia wypływającej. Odpowiedzialność bardzo wielka, bo ubytku moralnych sił narodu nie wyrówna żadna sprawność, czy silna ręka.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

ZAJŚCIA W POCZAJOWIE

JAK DONIOSŁA prasa, w Poczajowie na Wołyniu doszło do zajść na prawosławnych uroczystościach cerkiewnych. Żywioły „ukraińskie" wywołały te zajścia, polegające na wznoszeniu okrzyków i wywoływaniu tumultów w czasie religijnej procesji, na obnoszeniu transparentów z agitacyjnemi napisami itp., — w tym celu, aby jaskrawo zamanifestować postulat „ukraiński" nadania cerkwi prawosławnej zabarwienia „ukraińskiego", oraz przebudowania jej ustroju w takim kierunku, by oparł się on na zasadach t. zw. „soborności". Manifestacje — nawiasowo mówiąc bardzo jaskrawe w formach — zwrócone były zwłaszcza przeciw wyższemu klerowi prawosławnemu w Polsce, a między innemi przeciw obecnemu na uroczystościach J. E. metropolicie Djonizemu, — przyczem przyczyną była tu rosyjska narodowość szczytów hierarchji prawosławnej wogóle, a metropolity Djonizego w szczególności.

Gdyby zajścia miały źródło czysto wewnętrzne, zamknięte całkowicie w ramach cerkwi prawosławnej, — publicysta polski nie wieleby tu miał do powiedzenia. Ale zupełnie specjalne zabarwienie nadaje opisanym zajściom ta okoliczność, że za plecami organizatorów tych zajść stoi — „sanacja", a przynajmniej pewne jej odłamy. W manifestacjach brali udział — dość jawny — niektórzy posłowie z BB, — a polska prasa sanacyjna poświęciła zajściom bardzo ciepłe wzmianki.

Fakt ten jest o tyle jaskrawy i ważny, — że konieczne jest, aby opinja polska zajęła wobec niego stanowisko.

Czy manifestacje poczajowskie są z punktu widzenia interesu narodowego polskiego pożądane, czy niepożądane? A więc, czy fakt, że ugrupowanie polityczne polskie, będące dziś u steru władzy państwowej, inspirowało zajścia, poparło je lub też przymknęło na nie oczy, — jest wyrazem polityki słusznej i rozumnej, czy też błędnej i szkodliwej?

Nie może być, jak sądzimy dwu zdań co do tego — że manifestacje poczajowskie i cała polityka „ukraińska" na terenie prawosławia, która jest ich źródłem, stanowią z punktu widzenia polskiego fakt wysoce niepożądany. A więc, że polityka polska, która te poczynania „ukraińskie" popiera,

lub toleruje, jest polityką, przynoszącą w wyniku szkodę Polsce.

Spróbujmy się nad spornemi kwestjami polityki cerkiewnej zastanowić ze stanowiska polskiego[1]).

Przedmiotów, o które wewnątrz cerkwi—między rozmaitemi odłamami jej wyznawców — toczy się walka, jest kilka.

Do najważniejszych z nich należy sprawa ustroju cerkwi. Istnieją dwie możliwości urządzenia życia cerkwi. Cerkiew może być zbudowana na zasadzie hierarchicznej — to znaczy w ten sposób, aby źródłem władzy i autorytetu w cerkwi były szczyty hierarchji (tak jest w katolicyzmie, na którego czele stoi papież, wybierany przez *conclave*, złożone z kardynałów, pochodzących z papieskiej nominacji; jeśli abstrahować od roli świeckiego synodu, — zasada skupienia się władzy cerkiewnej na szczytach hierarchji panowała również w przedwojennem prawosławiu rosyjskiem). I może być także zbudowana na zasadzie „sobornej",—to znaczy na zasadzie skupienia się naczelnej władzy w ręku soborów,—przedstawicielstw o charakterze obieralnym, złożonych z reprezentacji zarówno wyższego, jak niższego kleru, oraz wiernych świeckich (zasada „soborności" przeważała naogół w cerkwi dyzunickiej w Polsce przedrozbiorowej). Wyższy kler prawosławny w Polsce skłania się ku koncepcji władzy hierarchicznej — żywioły „ukraińskie", mające oparcie w pewnych odłamach kleru niższego i wiernych świeckich, z wielkim hałasem domagają się reform w duchu „soborności". Władze państwowe (departament wyznań w ministerstwie wyznań i oświaty) niedwuznacznie popierają „ukraińską" koncepcję „soborności".

Drugą kwestją sporną jest kwestja składu personalnego wyższego kleru. Obecna hierarchja cerkiewna, złożona z Rosjan, broni rosyjskiego stanu posiadania w cerkwi. „Ukraińcy" — domagają się mianowania biskupów-Rusinów i stopniowej „ukrainizacji" szczytów hierarchji. Ta tendencja ruska osiągnęła już—przy poparciu władz państwowych — niemałe sukcesy: na Wołyniu jest już biskup — „Ukrainiec". Sprawa narodowości wyższego kleru wiąże się ściśle ze sprawą ustroju cerkwi: jeśli cerkiew zbudowana będzie na zasadzie hierarchji, kler rosyjski z łatwością się przed atakami „ukraińskiemi" obroni; jeśli zwycięży zasada soboru—sobory, w których będą rej wodzić „Ukraińcy" świeccy, lub „ukraińscy" popi (kler niższy) zmiotą hierarchję rosyjską za jednym zamachem.

Trzecią kwestją sporną jest sprawa języka liturgji. Wyższa hierarchja trwa przy ugruntowanym w cerkwi od tysiąca lat języku cerkiewno-słowiańskim. „Ukraińcy" dążą do zaprowadzenia w liturgji żywej mowy ruskiej.

W sumie—rzecz się sprowadza do zagadnienia: czy cerkiew ma nabrać charakteru nacjonalistycznie ruskiego, czy też ma zachować dotychczasowe swe piętno rosyjskie (osłabiane zresztą przez ważną okoliczność, że język liturgji nie jest rosyjski, lecz cerkiewno-słowiański).

Cóż jest z polskiego stanowiska korzystniejsze?

Z polskiego stanowiska byłoby najkorzystniejsze, aby zapanował w cerkwi duch i język polski (tak jak to się stało w kościele ormiańskim w ziemi Czerwieńskiej, w licznych odłamach kościoła ewangelicko-augsburskiego w Kongresówce i t. p.). Nie jest to możliwe dziś, ale może być programem na daleką metę. To też ze stanowiska polskiego dwojako można oceniać stosunki w cerkwi: można rozważać ich skutki z punktu widzenia chwili bieżącej (t. j. który układ stosunków pociąga za sobą więcej trudności natury doraźnej), oraz z punktu widzenia możliwości polonizacji cerkwi na dalszą przyszłość.

Z punktu widzenia wymogów polskiej polityki bieżącej jest rzeczą jasną—że kierunek „ukraiński" jest od rosyjskiego mniej pożądany. Nie potrzeba długich wywodów dla wykazania, że „Ukraińcy", odznaczający się radykalizmem metod, a prowadzący na wszystkich polach życia publicznego ostrą walkę opozycyjną wobec Polski, potrafiliby polityce polskiej przysporzyć w cerkwi znacznie więcej trudności, niż zrównoważeni, pozbawieni większej siły politycznej, a nawet wyraźnego polityczno-narodowego programu i pragnący tylko móc spokojnie trwać w swej odrębności narodowej Rosjanie. Tembardziej, że program „ukraiński" zawiera w sobie wiele niebezpiecznych pierwiastków rewolucyjnych (burzenie tradycji w dziedzinie języka liturgji, podrywanie powagi wyższego kleru, a przedewszystkiem dążność do przewrotu w ustroju cerkwi), — wprowadzających zamęt w życie cerkwi, co może z łatwością osłabić religijność ludu ruskiego, skłonnego wszak do przywiązywania w życiu religijnem dużej wagi do rzeczy zewnętrznych. A wszak poderwanie religijności — to prosta droga do bolszewizacji mas. Obóz rosyjski w cerkwi, broniący tradycji i szczerzej do religji przywiązany, daje więcej gwarancyj utrzymania mas ludu ruskiego w karbach dyscypliny religijnej, niż obóz radykałów i sceptyków „ukraińskich".

Ale tem wyraźniej jeszcze zarysowuje się interes Polski w podtrzymaniu w życiu cerkwi raczej Rosjan, aniżeli „Ukraińców" — z punktu widzenia perspektyw polityki asymilacyjnej.

Dążeniem naszem musi być, ażeby cerkiew stała się z czasem cerkwią o obliczu narodowem polskiem. A z pewnością prostsza jest droga do tego celu po przez stan obecny, gdy utrzymywanie się rosyjskiego stanu posiadania w cerkwi zapewnia cerkwi charakter różnonarodowy, a więc narodowo-neutralny, niż po przez „ukrainizację" cerkwi, czyniącą z niej twierdzę separatyzmu ruskiego.

Wyższy kler rosyjski w cerkwi prawosławnej w Polsce z samej natury stosunków zmuszony jest opierać się o państwo. Jest on podminowany od dołu przez agitację „ukraińską" (a tak samo białoruską) w masach wiernych i niższego kleru. Nie ma on oparcia w masie ludu rosyjskiego, którego w Polsce niema. Nie ma on oparcia również za kordonem, bo w Rosji Sowieckiej cerkiew jest w ucisku, cerkiew rumuńska, grecka i inne nie są w wewnętrznych stosunkach cerkiewnych w Polsce zainteresowane, a rosyjska cerkiew emigracyjna jest słaba. Jedynym — prócz własnego autorytetu i tradycyjnej powagi — czynnikiem, na którym wyższy kler rosyjski w Polsce może się opierać, jest państwo. A oparcie się o państwo obconarodowe—to prosta droga do asymilacji.

Niejeden czytelnik wzruszy może ramionami, gdy wyczyta, że pierwsze oznaki rozpoczynającego się procesu polonizacji cerkwi prawosławnej już się pojawiły. A jednak tak jest. Tą pierwszą oznaką jest pozycja, jaką sobie zdobył język polski wewnątrz cerkwi. Język ten jest tam już nie tylko językiem urzędowym, narzuconym przez pań-

[1]) Uczyniłem już jedną podobną próbę w swej książce „O program polityki kresowej" na stronicach 134—137.

stwo: w języku polskim ukazują się np. prawosławne rozprawy teologiczne (np. w czasopiśmie teologicznem „Elis“) i rozmaite inne publikacje i wydawnictwa, których opracowanie w języku polskim odbywa się bez żadnego zewnętrznego przymusu. Sam metropolita Djonizy ogłasza rozprawy w języku polskim — i jest to już przyjmowane jako rzecz zupełnie naturalna. Nie jest to wiele — to prawda. I trudno się temu dziwić, skoro żywot cerkwi pod rządami polskiemi trwa dopiero lat piętnaście. Droga od polskich rozpraw teologicznych do całkowitej polonizacji cerkwi jest jeszcze daleka. Ale jest to już krok na tej drodze, — jest to już coś. Aby wagę tego kroku należycie ocenić—wystarczy wyobrazić sobie... rozprawy teologiczne w języku polskim w urzędowem wydawnictwie cerkwi grecko-katolickiej we Lwowie. A przecież cerkiew unicka, w której rozprawy takie są dziś jeszcze nie do pomyślenia, też jest piętnaście lat pod rządami polskiemi, nie mówiąc już o tem, że przed wojną żyła w rządzonej napół po polsku Galicji i że ma wyraźnie polskie tradycje z przed roku 1848-go.

Wyższy kler rosyjski w Polsce zapewne długo jeszcze bronić będzie swego obecnego narodowego oblicza. Byłoby błędem z naszej strony przeszkadzać mu w tem. Lepiej jest, by proces asymilacji dokonał się powoli, drogą organicznego i samorzutnego rozwoju, niż żeby zewnętrzny nacisk miał go zwichnąć i spodlić. Ale na przestrzeni pokoleń, polonizacja cerkwi, w której trwać będzie dwoistość narodowa między rosyjskim wyższym klerem, pozbawionym mas, a ruskiemi masami, pozbawionemi wyższego kleru, jest nieuchronna.

Zupełnie inaczej byłoby natomiast, gdyby zawładnęli cerkwią „Ukraińcy“. Cerkiew, rządzona przez władyków—„Ukraińców“ i tem samem ujednolicona narodowo, stałaby się taką samą, a może jeszcze bardziej nieprzejednaną twierdzą opozycji przeciwpolskiej, jak cerkiew unicka w Galicji. Trudno wprost objąć myślą ogrom trudności, jakieby to wywołało w naszej polityce kresowej.

To też postulatem polityki polskiej jest i musi być — obrona wyższego kleru rosyjskiego przed zmieceniem go z powierzchni przez opozycję ruską. A tem samem (w granicach, dopuszczonych przez prawosławne kanony)—obrona pierwiastka hierarchiczności w przeciwstawieniu do pierwiastka „soborności“ [2]) Każdy inny kierunek polityki w stosunku do prawosławia nie jest kierunkiem polityki polskiej, lecz kierunkiem, interesom Polski przeciwstawnym,—wychodzącym na korzyść separatyzmowi ruskiemu i stojącym za nim Niemcom.

„Sanacja”, niestety, prowadzi taką właśnie politykę, nie polską, lecz ukrainofilską (a pośrednio niemiecką w stylu traktatu brzeskiego). Obóz narodowy, odsunięty od władzy, jest tu bezsilny.

Obóz narodowy może uczynić tylko rzecz jedną: zapewnić wyższą hierarchję cerkiewną, że w walce tej hierarchji z frondą ruską stoi sympatjami po jej stronie. I radzić jej, by nie szła zbyt ustępliwie i pośpiesznie na ugodę z dążnościami ukraińsko-sanacyjnemi, wobec tego, że dojście z czasem do władzy politycznej w Polsce obozu narodowego może na przyszłość szanse jej w tej walce poprawić.

JĘDRZEJ GIERTYCH

[2]) Jeśli chodzi o tę ostatnią sprawę — wysuwany jest często argument, że tak było przed rozbiorami. Ale nie wszystko jest dobre, co było w Polsce przedrozbiorowej. Zresztą, i warunki są dzisiaj inne, niż wówczas, i tradycje cerkiewne uległy przekształceniu.

„ROZMOWY“ MICKIEWICZA

(UWAGI NA MARGINESIE)

PRASA doniosła już o wyjściu w świat pierwszej serji tomów wydania sejmowego „Dzieł wszystkich Adama Mickiewicza“, a mianowicie: „Pism prozaicznych polskich część I“ (t. V), „Przemówienia“ (t. XI), i „Rozmowy z Adamem Mickiewiczem“ (t. XVI).

Z tego, co się dotychczas ukazało, najciekawszy bodaj jest tom ostatni. Już sam fakt zebrania po raz pierwszy w jednem miejscu rozmów Mickiewicza z przeszło stu osobami, rozmów, rozproszonych dotychczas po świecie, a mieszczących się częstokroć w rękopisach lub w wydawnictwach rzadkich i trudno dostępnych, wystarcza, aby należycie ocenić, jak wielką wartość ma ten tom dla każdego, kto chce dokładnie poznać oblicze duchowe Wieszcza. A jeśli do tego dodamy, że prócz „Rozmów“ zawarto tu również „Wiadomości o improwizajach A. Mickiewicza“, „Wiadomości o dziełach zamierzonych i zaniechanych“ oraz „Legendy i baśni opowiadane córce”, jak również, że cały mieszczący się tu materjał zebrały i opatrzyły niezwykle sumiennym i wnikliwym komentarzem najbardziej dziś do tego powołane ręce prof. Stanisława Pigonia, wtedy zrozumiemy, dlaczego tom ten wysuwa się na czoło wydanych dotychczas pozycyj.

Inni piszą już i będą pisali o niepożytej wprost wartości pozytywnej zarówno „Rozmów“, jak i całego wydawnictwa. Zaznaczmy więc tu jedynie, że pod każdym względem, poczynając od ilości i wartości zebranego materjału, a kończąc na wyglądzie zewnętrznym tomów i sposobie ich zbroszurowania, — wszystko tu wypadło imponująco. Lecz właśnie dla utrwalenia tego wrażenia, właśnie dla dobra samej sprawy, chcielibyśmy wypowiedzieć tu parę uwag, jakie nasunęły się nam przy przeglądaniu tomu „Rozmów“.

Otóż, wbrew ogólnemu przekonaniu[1]), a zgodnie zresztą z przewidywaniem samego wydawcy[2]),

[1]) Naprz.: „W tomie owym znajdujemy wszystko, cokolwiek ludzie spółcześni Mickiewiczowi zanotowali ze słów przez niego wypowiedzianych“ („Gazeta Warszawska“ z dn. 25 lipca), „Zgromadzono zbożnie najdrobniejsze okruchy wszystkiego, co Mickiewicz napisał kiedykolwiek, i co się dochowało w rękopisach i pierwodrukach“ („Polska Zbrojna“ z dn. 9 lipca).

[2]) W zakończeniu „Wstępu“ do tego tomu pisze prof. Pigoń: „...nie można zataić obawy, że mimo długotrwałych i pilnych poszukiwań, może nie udało się osiągnąć kompletności przynależnego tu materjału. Zapewne po czasopismach, a napewno po zbiorach rękopiśmiennych, w różnych korespondencjach, czy pamiętnikach, kryją się jeszcze relacje o rozmowach z Mickiewiczem, dotąd nieodstępne. Wydobędzie je przyszłość troskliwa. Zadaniem zbioru niniejszego jest i to także, by ułatwił i przyśpieszył takie uzupełnienie“. W artykule niniejszym chcemy właśnie dorzucić pierwszą garść takich uzupełnień.

nie zgromadzono tu całego w grę wchodzącego materjału. Znalazły się tu zapewne wszystkie, znane dotychczas obszerniejsze i najważniejsze rozmowy i relacje o nich, natomiast pewna ilość pozycyj drobniejszych, niekiedy wprost tylko „powiedzeń“ czy „odezwań się” Wieszcza, została, niestety, nieuwzględniona. I nie można obwiniać o to wydawcy, który i tak dokonał iście benedyktyńskiego dzieła: nie jego to wina, że to i owo zostało pominięte. Winne tu są głównie warunki, w jakich mickiewiczolodzy (mówimy tu wyłącznie o nich) muszą u nas pracować. Wogóle poprawne wydanie „dzieł wszystkich“ jakiegokolwiek płodniejszego autora jest rzeczą niesłychanie trudną, niemal niewykonalną, a cóż dopiero, gdy chodzi o Mickiewicza, tak niedokładnie jeszcze, mimo pozorów, opracowanego. Wszak lwia część najważniejszego tu, bo rękopiśmiennego, materjału, wbrew wyraźnym intencjom założyciela i ofiarodawcy Muzeum Mickiewiczowskiego, Władysława Mickiewicza, do dziś dnia spoczywa jeszcze w Paryżu, czekając, aż, wedle słów jego, „znajdzie się możność przeniesienia Muzeum do Krakowa dla utworzenia tam domu, poświęconego pamięci Adama Mickiewicza”. Reszta natomiast materjału, którą mamy w kraju, porozpraszana jest dosłownie po wszystkich dzielnicach i po wszystkich większych miastach. Dość powiedzieć, że ten, co chciałby przeprowadzić badania nad autografami Mickiewicza w samej tylko Warszawie, musiałby przesiadywać w bibliotekach: Narodowej (i, osobno, w Zbiorach rappersWilskich), Publicznej, Krasińskich, Zamoyskich, Przeździeckich, w Muzeum Narodowem i u kilku prywatnych posiadaczy. Chyba dość, aby zniechęcić każdego do tego rodzaju pracy lub conajmniej znakomicie ją utrudnić.

Nic dziwnego więc, że w tych warunkach to i owo można podać niezupełnie ściśle, to i owo — pominąć. Ale czyż to nie zgroza, że nie utworzyliśmy dotychczas jednego centralnego archiwum mickiewiczowskiego, jakiegoś laboratorjum, w którem badacze twórczości i życia poety mieliby pod ręką wszelkie potrzebne materjały? Ale to jest już dalsza sprawa: pomówimy o niej obszernie kiedyindziej. A tymczasem trzeba się bodaj liczyć z faktem, że do czasu wyjścia z druku całości „Wydania sejmowego” warunki gruntownie się nie zmienią, i że w następnych tomach mogą się znaleźć również pewne niedociągnięcia. I tu właśnie może byłoby miejsce pomyśleć o środkach zaradczych.

W dalszym ciągu wykażemy te, niezbyt zresztą liczne i ważne braki, jakie dostrzegliśmy w tomie „Rozmów“. Przypuszczać jednak należy, że gdy się odezwą specjaliści-mickiewiczolodzy, ilość tych pozycyj znacznie wzrośnie. Oczywiście, że nie wszystkie te uwagi będą jednakowo słuszne i uzasadnione. Komitet redakcyjny będzie je musiał bardzo skrupulatnie przesiać i zapewne część ich odrzuci. Ale zawsze pewna ilość ich zostanie, i to tylko odnoszących się do jednego tomu. A jest wysoce prawdopodobne, że i inne tomy[3]), a zwłaszcza zawierające utwory drobne, korespondencję i „Pana Tadeusza“, dostarczą niemniejszej ilości materjału. Z drugiej strony wydawnictwo omawiane nosi tytuł „pełnego“ i takiem, niewątpliwie, być powinno. Zapowiada ono ukazanie się 16 tomów tekstów i 2 tomów dodatkowych, mających zawierać tak cenne i konieczne pozycje, jak „Kalendarjum biograficzne“ (gdzie w danym dniu przebywał Poeta, co robił, co napisał — wykaz, prowadzony o ile możności z dnia na dzień), „Chronologja twórczości“, „Bibljografja druków“, „Wykaz rękopisów“ oraz „Ikonografja“. Jak z tego jednak wynika, nie przewidziano tu zupełnie konieczności udzielenia miejsca jakimś końcowym uzupełnieniom i sprostowaniom, być może w tej myśli, że tych uzupełnień będzie niewiele. A tymczasem jest ich sporo. I dlatego nasuwa się pytanie, czy nie należałoby już dziś pomyśleć o dodaniu do ostatniego tomu wydawnictwa jakiegoś „suplementu“, uwzględniającego wszystkie, zasługujące na to, opuszczenia i poprawki oraz ewentualne, nowoodnalezione pozycje, ogłoszone w okresie trzech lat, w ciągu których całość wydawnictwa ma być ukończona, tak aby nabywca „Wydania sejmowego“ otrzymał naprawdę wszystko to, co zostanie wydobyte na światło dzienne do czasu wyjścia z druku ostatniego tomu.

W nadziei, że Komitet redakcyjny wydawnictwa uzna może tę naszą myśl za słuszną i znajdzie możność technicznego jej zrealizowania, dajemy poniżej, dla zapoczątkowania, garść uzupełnień i uwag, jakie nam się nasunęły przy przeglądaniu tomu „Rozmów“ i skonfrontowaniu jego zawartości z odpowiednim działem własnych notatek.

„Rozmowy“, ułożone chronologicznie, rozpoczyna relacja W. Ch. Kondarakiego z czasów wycieczki na Krym w r. 1825. Tymczasem dochowało się kilka pozycyj wcześniejszych. Należałoby tu, naszem zdaniem, podać, conajwyżej z pewnem omówieniem, ralację Fr. Malewskiego o rozmowie z Mickiewiczem z września 1821 r. na temat dziejów jego miłości do Maryli (Korespondencja Filomatów, IV, 6). Z tegoż czasu, a może nawet z lat wcześniejszych, pochodzi opowiadania nestora powiatu nowogródzkiego, p. A(ncuty Michała?) o tem, jak Mickiewicz w obecności jego i Maryli skarcił pewnego psotnego młodzieńca („Słowo“ warszawskie z r. 1898, Nr. 174). Dalej, do czasu pobytu Poety u Bazyljanów odnosi się wspomnienie o rozmowie z nim ks. Moszyńskiego, drukowane w I-ym tomie „Pamiętnika Tow. Literackiego im. Adama Mickiewicza“ (str. 188-190). Wreszcie, wcześniejsza jest rozmowa odeska Mickiewicza z Fr. Kowalskim, podana przez St. Wasylewskiego w Nr. 27 (340) „Wiadomości Literackich“ z 1930 r. Tego wszystkiego w „Rozmowach“ niema.

Na str. 37, w przypisku, błąd drukarski w dacie urodzin Mikołaja Malinowskiego (1779 zam. 1799).

Na str. 42, w przypisku do twierdzenia J. Przecławskiego, że Mickiewicz poznał Puszkina w r. 1828 u p. Sobańskiej w Petersburgu, czytamy nast. sprostowanie: „Z Dziennika M. Malinowskiego wiemy jednakowoż (str. 47), że już w grudniu 1827 r. bywał Mickiewicz u Puszkina“. Tymczasem z książki A. Winogradowa (s. 234), cytowanej na str. 101 „Rozmów“, wiadomo już dziś, że Mickiewicz zawarł był znajomość z Puszkinem jeszcze w pierwszej połowie października 1826 r. w Moskwie, powoływanie się więc w tym wypadku na Malinowskiego nie jest już dziś najsilniejszym argumentem[4]).

[3]) Por. naprzykład recenzję W. Charkiewicza w „Słowie“ wileńskiem z dn. 20 lipca.

[4]) N. Lerner, biograf Puszkina, podaje nawet wcześniejszą datę zawarcia tej znajomości, a mianowicie połowę sierpnia tegoż roku (Por. art. R. Blütha w „Roczniku Koła Polon. Słuch. Uniw. Warsz.“ 1927, s. 53).

W przypisku na str. 46 zaznaczono, że autograf znanych notatek Fr. Malewskiego nie dochował się do naszych czasów. Czy nie jest to nieporozumienie? Władysław Mickiewicz, który pierwszy opublikował te notatki w „Roku Mickiewiczowskim", wyraźnie pisze, że przechowały się one „w książeczce, w której Franciszek Malewski robił wyciągi z dzieł przezeń czytanych" (s. 260). Czy nie jest to więc rękopis Muzeum Mickiewiczowskiego w Paryżu, figurujący w katalogu drukowanym pod Nr. 950. jako „Notatki i wypisy z czytanych dzieł Fr. Malewskiego"? A jeśli tak, to żałować należy, że nie wyzyskano go tu, ograniczając się do przedrukowania tekstu, ogłoszonego przez J. Kallenbacha w pracy zbiorowej „Sami sobie". W rezultacie nie znajdujemy w „Rozmowach" nast. zdań, drukowanych już w powyższych opracowaniach: „Pamięć. Cytaty w Lindem z Iliady, z Tassa: powiedzieć, gdzie każda była użyta, zkąd wzięta" („Rok Mick". s. 265), „W szkołach mnóstwo wierszy dyktowanych. Pożar jak u tryumwira. *Fuit sibi Rex.* Trębecki nie przemawiał. Homer po łacinie. Oresta tłumaczenie. Borz. Życie bez myśli jak wiele szkodzi" (*ib.* s. 265), „Goethego tom. Domysł, że Goethe miał jakąś zaczętą tragedję, do której potem przyszył Fausta" (*ib.* s. 268).

Na str. 54 w notatce biograficznej o Karolinie Jaenisch, nie wspomniano nic o tem, że była ona przedewszystkiem poetką, co nie jest, naszem zdaniem, bez znaczenia dla wyjaśnienia tych nici wzajemnej sympatji, jakie łączyły ją z Mickiewiczem.

(Dok. n). LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

ŻYD FRYDERYKA SCHILLERA

BYŁEM przed kilku miesiącami na przedstawieniu „Zbójców" Schillera i w miarę, jak przypatrywałem się i przysłuchiwałem dawno nieczytanemu utworowi, narzucała mi się pewna nowa interpretacja. Zapewne jest tu i tendencja rewolucyjna, godząca w gnijące Niemcy XVIII w., i naśladowanie Szekspira, i pogoń za silnemi efektami scenicznemi. Ale co było głównym celem autora? Skąd wziął się tytuł?

Zbójcami są ci, którzy zbrodniczo, z pogardą etyki i praw pisanych, żerują na ciele społeczeństwa. Stąd u Schillera galerja złoczyńców i stopniowanie. Karol Moor — to szlachetny zbójca, popchnięty na drogę zbrodni okolicznościami, intrygą i wściekłością, jaką budzi w nim zatruta atmosfera. Franciszek Moor — to zbrodniarz podstępny i nikczemny, niepozbawiony jednak pewnych rysów wielkości. Ma on przy sobie pomocnika w osobie Hermana, natomiast Karola otacza cały zastęp pomocników — znowu odpowiednio wycieniowanych — od szlachetnych zbójców Schweizera i Kosińskiego do scharakteryzowanego już nazwiskiem Schufterłego i najpodlejszego ze wszystkich, małego, a niesłychanie wypranego ze wszelkich lepszych uczuć Spiegelberga. On to w fatalnej chwili poddaje pomysł założenia bandy zbójców, pragnąłby, jako wnioskodawca, zostać jej wodzem, a zawiódłszy się, dąży konsekwentnie do zastąpienia Karola, intryguje przeciw niemu, wreszcie usiłuje go zamordować i ginie przy tej nieudałej próbie. On to gwałci zakonnice i podstępnemi sposobami werbuje rekrutów dla bandy, co przeciwstawione jest wyraźnie postępowaniu Karola wobec chcącego do niej wstąpić Kosińskiego.

Ten Spiegelberg jest wedle intencji autora żydem, czego naturalnie teatry nasze, uzależnione dziś od niepolskiej publiczności i przyzwyczajone jej schlebiać, nie uwzględniają, nietylko nie wprowadzając odpowiedniej charakteryzacji, ale też starannie usuwając odpowiednie ustępy, które tu pozwolę sobie przetłumaczyć.

Scena 2 aktu I wprowadza Karola i Spiegelberga, siedzących w gospodzie. Karol czyta — i nagle, odkładając książkę, wybucha oburzeniem i wstrętem wobec małości własnego wieku. Natchnęła go tem uczuciem lektura Plutarcha. Spiegelberg podaje mu szklankę i rzuca niezrozumiałe naraz słowa: „Musisz czytać Józefa". (Flawjusza, owego żyda, który z obozu Tytusa patrzył na oblężenie Jerozolimy i opisał wojnę żydowską).

Karol nie zwraca uwagi na to, co mówi towarzysz, którego ani nie lubi, ani nie szanuje. Wygłasza dalej płomienne inwektywy na otaczające życie. Spiegelberg co pewien czas przerywa mu, potakując, ale wspomina przytem raz jeszcze Flawjusza: „Czytaj Józefa, proszę cię o to".

Karolowi mieszają się obrazy wielkości, jakie napotkał u Plutarcha, z objawami mieszczańskiej hypokryzji i małostkowości, jakich sam doświadczył. Dowiadujemy się, że został lub miał zostać uwięziony za długi. Tu Spiegelberg, który ma swoje plany, przerywa znowu: „I dla takich paru tysięcy parszywych dukatów"... Wyraża się wprawdzie wzgardliwie o pieniądzach, ale też marzy o nich, jak zobaczymy, i ma w pogotowiu środki ich zdobycia.

Karol, nadal nieczuły na odezwania się Spiegelberga, narzeka na niewolę, jaką człowiekowi narzuca prawo, równocześnie zaś snuje plany rewolucyjne:

„...Ach, gdybyż jeszcze w popiołach stał duch Hermana! — Pokaż mi wojsko takich chłopów, jak ja, a Niemcy staną się rzeczpospolitą, przy której Rzym i Sparta wydadzą się klasztorami zakonniczek.

SPIEGELBERG (zrywając się z krzesła). *Bravo! Bravissimo!* Otóż mi w sam raz poddałeś ideę. Powiem ci coś do ucha, Moor, coś, z czem już noszę się oddawna. Tyś do tego odpowiedni człowiek — chlaj, bracie, chlaj! — cobyś na to powiedział, gdybyśmy zostali Żydami i wznowili królestwo? (-(żydowskie)-)

MOOR (śmieje się na całe gardło). Aha, aha, teraz rozumiem. Chcesz, żeby napletek wyszedł z mody, ponieważ twój już został u cyrulika.

SPIEGELBERG. A bodajże cię, ty gruboskóra bestjo! Coprawda, jakimś cudownym sposobem ja jestem już naprzód obrzezany. Ale powiedz mi, czy to nie jest sprytny plan i czy ci nie przypada do serca? Puszczamy we wszystkie strony świata manifest i wzywamy do Palestyny wszystko, co nie jada świńskiego mięsa. Potem dowodzę wiarogodnemi dokumentami, że tetrarcha Herod był moim protoplastą, i tak dalej. Co to będzie za triumf, chłopie, gdy staniemy na suchym gruncie i będziemy mogli jeszcze raz odbudować Jerozolimę. Dalejże, póki żelazo gorące, precz z Turkami z Azji, rąbać cedry na Libanie, budować okręty i brać się

z paradą do szacherki — cały naród bez wyjątku. Tymczasem...

KAROL (bierze go, śmiejąc się, za rękę). Kolego, już koniec z błazeństwami".

Spiegelberg nie wróci już do swoich syjonistycznych pomysłów, które zresztą nie mają bynajmniej proroczego charakteru, gdyż Schiller wyszydza tu Mojżesza Mendelssohna, zwanego przez żydów trzecim Mojżeszem. Przechodzi do bardziej realnych pomysłów — wzywa Karola, aby udali się do wielkich stolic zachodnich, gdzie będą fałszowali dokumenty, oszukiwali w grze i popełniali włamania. Karol jest głuchy na to kuszenie, zresztą nie bierze go na serjo, sądząc, że Spiegelberg upił się, i nazywa go głupcem. Dopiero kłamliwy list Franciszka, fałszujący wolę ojca, wytrąci Karola z równowagi i popchnie go poza nawias społeczeństwa. Ale pomysł pochodzi znowu od Spiegelberga.

Jest on w tej scenie właściwie komiczną postacią — nawet jego końcowa wzmianka o truciźnie nie budzi grozy i czyni raczej wrażenie bezsilnej, a śmiesznej przez to wściekłości. Jako złoczyńcę poznamy Spiegelberga dopiero w dalszym ciągu sztuki.

Leon Piniński mówi w swej książce o Szekspirze z powodu „Kupca Weneckiego", że między tymi, którzy objawili niechęć do żydów, spotykamy w ciągu ostatnich 20 wieków najświetniejsze imiona z dziejów twórczości umysłowej na wszelkich polach. Zestawia na próbę listę dziesięciu takich nazwisk: Tacyt, Klemens Aleksandryjski, Dante, Giordano Bruno, Szekspir, Voltaire, Goethe, Schopenhaner, Mommsen i Ryszard Wagner (Leon Piniński: „Shakespeare". Lwów, 1924. Część II, nr. 379). Oczywiście, lista dałaby mnożyć się w nieskończoność, a niewątpliwie powinnoby wejść w jej skład także nazwisko Schillera. Widzimy, jak głęboko w przeszłość Niemiec nowożytnych (bo o średnich wiekach tu nie mówimy) sięgają korzenie hitleryzmu. Schiller pisał w okresie, kiedy żydzi dzięki Mendelssohnowi i innym zdobyli właśnie wpływy i pozycję w życiu niemieckiem. Reakcja była natychmiastowa.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

ROCZNICA STWOSZA

DOBIEGA już końca rok, w którym my, Polacy winniśmy święcić pamięć arcymistrza Wita Stwosza.

Pozostawił on w Polsce a także na Spiszu arcydzieła najpiękniejsze i najważniejsze. Są to utwory genjusza, przyświecającego nietylko nam, ale i ludzkości całej. Wiedzieć o tem musi każdy Polak, że ołtarz Uśpienia Matki Boskiej w Kościele Marjackim w Krakowie — to szczyt najwznioślejszy rzeźby średniowiecznej wogóle, a grobowiec cały króla Kazimierza Jagielończyka w katedrze Wawelskiej — chwała sztuki polskiej, stojąca godnie obok pomników greckich.

I właściwie naród mało wie o rocznicy!

Pokolenie najmłodsze mało słyszy o twórcy tych skarbów, któremi Polska ma prawo chlubić się jaknajszlachetniej i które przyczyniają tak wiele blasku ziemi naszej.

Niebawem zamknie się rok 1933, przypominający nam rok 1533, kiedy Wit Stwosz, jako Polak i Krakowianin umarł w Norymberdze, znienawidzony ze strony Niemców, zelżony, dręczony i napiętnowany. Tęsknił do Ojczyzny swojej, lecz nie wolno mu było wrócić do Polski, bo Niemcy uwięzili go w murach Norymbergi i nie pozwalali mu wydalać się nawet do miasta sąsiedniego. W zapomnieniu i pohańbieniu dokonał żywota pracowitego, wśród męczarni niebywałych, jako starzec ociemniały, za całą pociechę mając to tylko, że prowadzony ręką wnuczki kochającej, odwiedzał kościoły miasta, aby z miłością dotykać nóg Chrystusa Ukrzyżowanego, dłótem jego cudownie wyrzeźbionego.

Niemcy nie troszczyli się o grób arcymistrza i długo nie wiedziano, gdzie on się znajduje. Stwosz znalazł przytułek przy grobie osoby powinowatej.

Opuszczenie i zapomnienie — całą nagrodą za znoje życia długiego, twórczego, obfitego w ból i krzywdę.

Polska zaprzątnięta teraz mistrzostwami olimpjad i powtarzająca wiecznie przenajrozmaitsze akademje — nie ma czasu na uczczenie należyte rocznicy Wita Stwosza, o którym myśli zresztą jako o Niemcu nie mającym wiele wspólnego z duszą polską. Dlatego nie śpieszy się wcale, aby wykazać źródłowo a naukowo, jak niesprawiedliwemi są sądy takie, które chcą tak Stwosza, jak Kopernika Niemcom bez sprzeciwów darować. A Stwosz w sztuce swej jest tak rdzennie polski, że odebrać go nam nikt nie może.

Opłakiwanie króla na skrzyni grobowej Kazimierza Jagiellończyka łączy się przecie z naszymi obyczajami narodowemi i ludowemi tak silnie, jak jędrnie powtarza ono to samo, co dłóto rzeźbiarza oddało przedtem na grobowcach Kazimierza Wielkiego i Władysława Łokietka.

Jeżeli prof. Brückner w dziele swojem „Dzieje kultury polskiej" (I str. 619) nie zawahał się nazwać posągi rzeźbione ołtarza Marjackiego—sarmackiemi, to w tym wyrazie, łączącym życie spokojne ziemskie z polotem tęsknot niebiańskich, najgórniejszych—tkwi właśnie owo znamię polskości, wedle której twórczość swoją Wit Stwosz zawsze objawiał.

Uśpienie Matki Boskiej jest również treścią należące raczej do pojęć Wschodu, niż Zachodu, a łączy się ono w obrazie głównym ołtarza Marjackiego znowu z opłakiwaniem w chwili rozstania przed Wniebowzięciem. Te opłakiwania przecie do dziś dnia żyją w Polsce przy obrzędach pogrzebowych, zdala od miast postępowych!

A jakże uczczono rocznicę śmierci Stwosza?..

Oto odnowiono ołtarz Marjacki w Krakowie, lecz niechcąco, a może celowo stała się krzywda, która bynajmniej nie powinna była zdarzyć się właśnie w roku pamiątkowym. Usunięto bowiem niepotrzebnie iglicę osiową, gotycką, która do czasów ostatnich unosiła się nad linjami koronkowemi, stanowiącemi baldach (białodach) czyli podniebie ponad rzeszą osób „Uśpienia Matki Boskiej", obrazu środkowego. Właściwa opieka nad zabytkami powinna przecież zachowywać i cenić pamiątki, a nie zmieniać dowolnie dzieł i zabytków.

Iglica osiowa istniała do czasów ostatnich. Brakowało jej chwilowo przed odnowieniem ołtarza w wieku XIX, lecz potem osadzono ją tak, jak

stała pierwotnie, pomiędzy dwiema parami linij, „przeginek", unoszących się w kształcie wygięć esowatych.

Odrzucenie tej iglicy osiowej uważamy za szkodę i ujmę dla zabytku, który ma prawo do wyrazu w sztuce wedle poczucia samego Wita Stwosza. Iglica ta należy do tak zwanego dwudziału polskiego, który tak licznie objawia się po polach skrzydeł ołtarzowych. Uzgodnienie samo domaga się tego, aby sposób kształtowania po obrazach bocznych widniał koniecznie i na obrazie środkowym. — Okazuje się z tego — na czem właściwie skończyła się rocznica śmierci Wita Stwosza? Na tem, że dzieło ołtarza Marjackiego w Krakowie w obrazie głównym, pozbawione dwudziału polskiego — łatwiej mogliby Niemcy poczytać za utwór sztuki niemieckiej.

Iglica osiowa atoli — jako laska, jako słupek musi pozostać nadal w rzeźbie obrazu głównego na ołtarzu Marjackim w Krakowie i pomiatać nią nie wolno, ponieważ Stwosz trzymał się właśnie takiego sposobu kształtowania. Dał przecie słup w osi i świetlicy na obrazie czwartym od dołu, przy skrzydłach zamkniętych (Ofiarowanie), a nawet w połowie lewej tego wnętrza umieścił żebro sklepienne także w osi. Sławna płyta wierzchnia z grobowca św. Wojciecha w Gnieźnie, ma po trzy wgłębienia dla sześciu słupów na zasadzie dwudziału.

Pomnik ten miał przeto tak samo po trzy słupy nad skrzynią grobową, jak pierwotnie po polsku, po nadwiślańsku zbudowany był i grobowiec króla Kazimierza Wielkiego.

Zniszczono dwudział ten w ciągu odnawiań; zniszczono dwudział i na ołtarzu Marjackim—wbrew prawdzie i pietyzmowi dla arcydzieła.

Zakopane. JAN SAS ZUBRZYCKI

DEOTYMA DO MŁODZIEŻY

W BIBLJOTECE Ordynacji Zamoyskich znajdują się rękopisy drukowanych i niedrukowanych utworów Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy). Utworzony przed kilku laty, Komitet Redakcyjny wydania dzieł Deotymy kończy swoje prace, tak, że na 25-ą rocznicę zgonu a 100-ą urodzin poetki (1933 — 1934) uda się zapewne wydać większą część rzeczy nieznanych, a zwłaszcza poemat „Sobieski pod Wiedniem".

Tu podajemy niedrukowaną dawniej ze względów cenzuralnych improwizację Deotymy:

DO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

wiersz improwizowany w szkole polskiej na Batignolles w Paryżu dnia 29 grudnia 1860 r. Po odśpiewanym przez młodzież hymnie: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

Polska nadziejo! Polska młodzieży!
Witaj mi kwiecie w cierniach wyrosły!
Już wieści szczęścia lecą jak posły,
Chwila... za chwilę trąba uderzy!
Szykuj się, roto przyszłych szermierzy.
Wodzem, kto w siebie uwierzy.

Jacy wy szczęśni przychodnie z dali,
Żeście najpóźniej wstąpili w życie!
Na co dzień cały starsi czekali,
Wam się przedstawi o świcie.

Dla was wypadła w księdze dziejowej
Karta pisana złotemi słowy.
Ojcowie wasi czytali z karty
Czarnej rozpaczą, gromem rozdartej,
Nieraz w czytaniu brakło im głosu
Lecz doczytują w tej chwili... młodzi,
Ufajcie! Zawsze wśród kartek losu
Po czarnej, biała nadchodzi.

Jutro się karta odwróci może,
Lecz jak przeczekać tę długą zorzę
Gdy zimno w rosie i mroczno w borze?

Ptaszku młodości, nim słońce wstanie,
Jakąż piosenką skrócisz zaranie?
O! jest piosenka, co czas umniejszy:
To mądrość. — Księga zorzą oręża;
Jak wieki świadczą, nie najsilniejszy
Ale najmędrszy zwycięża.

Jeszcze dłoń wasza za mdła do stali,
Lecz duch wasz stalny, przyszli rycorze,
W kuźnicy nauk hart i kształt bierze,
Aż się zapałem nawskroś przepali.

Niech Was żałoba snem nie omami
Smutek do wiedzy nie zamknie wstępu,
Nim pochwycicie sztandar z orłami,
Idźcie pod wielki sztandar postępu.
Nigdy nie noście w duchu siwizny;
Niech dnie swobody splotą się ściślej:
Nim wywalczycie wolność Ojczyzny,
Wojujcie za wolność myśli.

Może Wam ludzie będą mówili,
Abyście, sypiąc na skroń popioły,
Klękli i w ciszy czekali chwili,
Gdy za Was walczyć przyjdą anioły?
O! nie uwierzcie w ten głos nieśmiały!
Są dni pokory — i są dni chwały.
Nie chylcie czoła, lecz idźcie wgórę,
Kto chce wziąć piorun, wdziera się w chmurę,
W pierś się nie bije wojak wśród bitwy.
Czyn, jest to — Amen modlitwy.

Przodkowie nasi krzyż i miecz mieli
A my krzyż tylko. Mieczaż się zrzeczem?
Nie! walka złączy, co walka dzieli.
Wszakże kształt jeden mają krzyż z mieczem?
Patrzcie! już pierwszy w drugi przepływa:
Szczyt krzyża bierze kształt rękojeści;
Dolny pręt jego zgięty z boleści;
Od łez połyska jak klinga krzywa,
Z ramion ma jelce, pochwę z cierpienia
Krzyż się na szablę przemienia.

Wtedy ujrzymy, — o ja już widzę!
Jak dosiadacie białych biegunów,
Na lauronośnej drzewców łodydze
Kwitną proporce! Z chmurnych całunów,
Genjusz Wolności zszedł z aureoli,
Której promieńmi pałasz i kosa.
Wy zapomnicie słowa niewoli!
Oby Was minął i zawrót chwały.
Was wypróbują szczęściem niebiosa,
Jak Ojców łzą próbowały.

A gdy i szabla swego dokona,
Kiedy stal biała, krwią sczerwieniona,
Dwa narodowe wróci kolory,
O wtedy, młodsze od Was plemiona
Jeszcze innemi puszczą się tory:
W polski, rolniczy żywioł wróceni,
Potężni myślą, a sercem prości,
Będziem kmiotkami w wiosce miłości
I szabla w lemiesz się zmieni.

Wiersz powyższy cenzura rosyjska wykreśliła ze zbioru improwizacyj Deotymy i pozostał dotychczas nieznanym.

M. B.

NA WIDOWNI

Skrępowana twórczość. — Liberalizm i etatyzm wobec literatury i sztuki. — Stan rzeczy u nas. — Niebezpieczeństwa. — Postulat ustroju narodowego.

NIEŁASKAWA jest doba teraźniejsza na twórców w zakresie literatury, sztuk plastycznych i t. d., jeżeli chodzi o danie warunków, zapewniających *maximum* poczucia swobody wewnętrznej, niezależności sumienia osobistego, godności jako człowieka i artysty. Dwa prądy, w zasadzie przeciwstawne wzajemnie, oddziaływają tu w praktyce równie złowrogo: liberalizm i etatyzm.

Liberalizm, w teorji i w życiowem urzeczywistnieniu, widział wolność twórczości artystycznej w poddaniu jej ekonomicznym prawom rynku i wymiany. Potraktował jak towar to, co towarem nie było, regulowanie produkcji duchowej narodu pozostawił automatyzmowi podaży i popytu. Określanie wartości dzieł sztuki ceną, a pozycji poety czy dramaturga — powodzeniem, w niemałej mierze przyczyniało się do ustanawiania fałszywej hierarchji i krzywienia drogi rozwojowej talentów: zachęcało ku uzależnianiu się, rezygnowaniu — częściowemu przynajmniej — z własnej osobowości, przez dostosowywanie się czy to do upodobań szerokich rzesz, czy do mniej jeszcze szacunku godnych gustów garści zamożnych snobów. Co ważniejsze, w gospodarce wolnokonkurencyjnej szczególnie doniosłe jest znaczenie czynnika organizacji i reklamy. Stąd ogromne wpływy żydów: finansistów i rutynowanych pośredników, stąd potęga grup tajnych czy jawnych, mających w ręku materjalne środki oddziaływania na opinję, rola wielkich przedsiębiorstw prasowych i t. d. Czyż łatwo twórcy nie ugiąć się, nie pogodzić się z tem i owem, jeżeli walka musiałaby być tak nierówna, a korzyści, opłacające kompromis, tak namacalne przecież, tak ponętne?...

Etatyzm w stosunku do literatury i sztuki — jeśli tak nazwać umożliwienie bytu i tworzenia artystom przez szczodrobliwość i opiekę ze strony przedstawicieli władzy państwowej — niewątpliwie posiada tradycje dostojne i zasługi nie do zlekceważenia w historji kultury. Znaczenie mecenatu, przedewszystkiem na dworach monarszych, niejednokrotnie nader korzystnie uwydatniało się w dziejach cywilizacji. Niemniej, obok stałych niedoskonałości tego systemu, w chwili obecnej ujawnia on pewne wady dodatkowe, specjalne, wynikające z okoliczności doby dzisiejszej, z których warto zdać sobie sprawę.

Gdy się spogląda na malowidła np. Velasquez'a, tak bez pochlebstwa, z okrucieństwem nieomal obnażające smutną prawdę hiszpańskiego dworu, kiedy się patrzy na brutalne, w karykaturę przechodzące wizerunki królewskie Goy'i, nie sposób oprzeć się refleksji, iż owym władcom, zasiedziałym na tronach, na chwilę nawet nie przemknęłaby przez głowę idea, że taki portret mógłby w czemkolwiek zaszkodzić sprawie ich panowania, odmienny zaś dawałby się wyzyskać politycznie jako propaganda. Teraźniejsi faktyczni kierownicy państw europejskich są u steru od lat kilku czy kilkunastu, od ostatnich wyborów parlamentarnych lub ostatniego zamachu stanu, trudno się dziwić przeto, że rządów swoich nie uważają za coś zrozumiałego samo przez się, wynikającego z natury rzeczy, nie podlegającego dyskusji, że wobec tego rozglądają się ustawicznie w poszukiwaniu narzędzi, któreby władzę ich pozwoliły ugruntować i zabezpieczyć. Nie należy oczekiwać, że ludzie tacy odniosą się do literatury i sztuki z bezinteresownością całkowitą, że szukać w niej będą wzruszeń wyłącznie i jedynie estetycznych, nie usiłując wydobyć zysku doraźnego dla polityki i że ten wzgląd nie stanie się — z ich punktu widzenia — rozstrzygający.

Trzeba zaś zwrócić uwagę na ten fakt ważny, że we współczesnych warunkach, zarówno w ustroju demokratycznym jak dyktatorskim, jednostki rządzące są przedstawicielami pewnej grupy, obozu politycznego, partji, a zatem: c z ę ś c i narodu, która doszła do władzy w Państwie, współzawodnicząc z częścią drugą, opozycją i w dalszym ciągu toczy z nią walkę o utrzymanie i utrwalenie swojej przewagi. Zwycięstwo na tem polu właśnie stanowi czasem główny przedmiot zabiegów rządu i niebezpieczeństwo jest oczywiste, że twórczość artystyczna, która z istoty swej winna być wyrazem n a r o d u, nie zespołów chwilowych, cząstkowych, naginana będzie i krępowana dla celów stronniczych, wyzyskiwana agitacyjnie, a przedewszystkiem nakłaniana do układności, do zachowania wygodnego milczenia o sprawach niewygodnych. Pół biedy jeszcze, jeżeli naród jest zwarty, spoisty duchowo, we wszystkich naprawdę ważnych sprawach jednomyślny, a spory partyjne, naprzekór pozornej ich zawziętości, dotyczą w gruncie rzeczy drobiazgów, różnic, pozbawionych poważniejszego znaczenia... Ale u nas, gdzie rozłam jest w kwestji zasadniczej: czy Polska ma być państwem narodu polskiego, czy też narówni z nim prawo rządzenia i wpływu posiadać ma, zamieszkała u nas, czteromiljonowa blisko masa żydowska...

W Państwie Polskiem, w odniesieniu do literatury i sztuki, coraz pełniej zwycięża tendencja etatystyczna. Społeczeństwo, zobojętniałe i zbiedzone, wycieńczone gospodarczo podatkami i daninami, wydatki z zakresu kulturalnego traktuje jako „potrzebę krańcową", najłatwiej odpadającą przy wszelkich oszczędnościach, państwo natomiast rozszerza swój budżet, biorąc na siebie troskę o rozdział części dochodu społecznego, przypadającej na utrzymanie twórczości artystycznej i jej rozwój. Nie o czytelniku myśli też coraz częściej autor książki, ale o zasiłku rządowym na jej wydanie, nie z myślą o publiczności układa teatr swój repertuar, ale o przypodobaniu się władzy, dającej zapomogi...

Wyżywienie pegazów stało się dziś jakby jednym z działów, podległych departamentowi stadnin państwowych: w stajni dla rumaków skrzydlatych coraz nowe ustawia się żłoby. Uzależnia się przez teatr, radjo, „instytuty propagandy sztuki", subsydjowane czasopisma, nagrody... Powstaje nawet, drogą oficjalnego doboru, Akademja Literacka Współpracy z Rządem (ALWR). Tylko z samą literaturą jakoś nieświetnie...

Trudno jest mieć wzrok, zwrócony ku gwiazdom, kiedy tułów pochyla się, zgięty w ukłonie, gest dłoni wysuniętej jest mało majestatyczny, nie może to być gest ani błogosławiący, ani ciskający gromy przekleństwa. A przecież wielka poezja błogosławi i przeklina, wydaje sąd: wieńczy lub karci

i przestrzega. Nie łatwo jest pisarzom dzisiejszym o tę powagę.[1])

Przyszły ustrój narodowy jako jedno z naczelnych swych zadań postawić musi stworzenie należytego układu warunków, nietylko materjalnych, lecz i moralnych, dla najbujniejszego rozrostu twórczości narodu w zakresie sztuki. Poeta, artysta wyraża w dziele swojem siebie samego, duszę własną: to jego los, przeznaczenie. Niczego innego czynić nie może i nie narodzi się wielka twórczość, jeżeli w tworzących nie będzie pierwej wielkości wewnętrznej, sumienia niezależnego i mocnego, wysokiego poczucia godności ludzkiej i odpowiedzialności swojego powołania. Nietylko komfortu materjalnego potrzeba, by nie fałszywym tonem zadźwięczała „najniższa modlitwa anioła"...

Ani sztuka ma usługiwać polityce, ani nad nią przewodzić. Ale jednem z zadań polityki (czynności organizującej w życiu narodowem) jest zapewnienie sztuce najlepszych, fizycznych i duchowych możliwości rozkwitu. Ostatecznym bowiem celem narodu jest tworzenie, — we wszystkich dziedzinach harmonijne i najpełniejsze, — siebie samego, to jest narodowej cywilizacji.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[1]) Może, gdy dalej pójdziemy w tym kierunku, najświetniejsze dzieła literackie czasów naszych pozostawać będą w Polsce w rękopisach, niczem w drugiej połowie XVII stulecia lub w epoce saskiego upadku. Późniejsze wieki odkryją je, jak „Wojnę chocimską" Potockiego czy polityczne pisma Karwickiego, zapominając o stosach drukowanych panegiryków, jakich tyle pojawiało się za Augusta II i Augusta III.

GŁOSY

ŚWIAT CAŁY walczy z kryzysem, ale Polska wymyśliła najoryginalniejszy sposób walki. Polega on na stworzeniu jakimś dwudziestu tysiącom ludzi takich warunków, żeby kryzysu nie czuli. Sądząc z pełnych zadowolenia ich oświadczeń, kryzys w Polsce istotnie jest „przezwyciężony". Z jaką trwogą owe dwadzieścia tysięcy muszą myśleć o tem, że kiedyś gnębiące kraj przesilenie, polityczne i gospodarcze, mogłoby naprawdę się skończyć! Nadzieja ta trapić musi, jak zmora... Narazie okres prowizorjum zrodził niemało inicjatyw i przedsięwzięć. Jednem z nich jest niewątpliwie Akademja Literatury. Nowy ten urząd został właśnie powołany do życia. Kiedyś, kiedy jeszcze Żeromski publikował swój projekt, wyobrażano sobie Akademję, jako instytucję, której główną racją istnienia będzie piecza nad polszczyzną Od czasu jednak, gdy orędownikami Akademji stali się literaci sanacyjni, zadania kulturalne Akademji mniej zaczęły zaprzątać uwagę; podnoszono zato, że najważniejszą i najpilniejszą sprawą jest zabezpieczenie bytu zasłużonych ludzi pióra i że to jest główny cel Akademji, bo u nas, jak wiadomo, ogół nie chce czytać książek. Era sanacyjna, urzeczywistniając projekt, sharmonizowała go z ogólnemi celami *régime*'u: za zasłużonych poczytała przedewszystkiem tych pisarzy, co położyli zasługi dla „sanacji" — chwaleniem, lub cenną tolerancją. Elita „akademików literatury" została skompletowana w czasie, gdy najmiarodajniejsze czynniki wiele serca wkładają w walkę z akademikami z uniwersytetów. Zgóry przewidzieć można, że praca „akademików literatury" odbywać się będzie w warunkach lepszych, niż praca ich młodszych kolegów, i że wiece ich nie będą rozwiązywane tak często, jak wiece akademików z uczelni wyższych. Lista piętnastu imion została wypełniona, kosztem włączenia paru pisarzy najgorszych (jak Kaden i Rzymowski). Ale, powtarzamy, w czasach dzisiejszych nie można było oczekiwać, żeby było inaczej. Silniej może od tej pierwszej refleksji o jednostronności doboru, ciśnie się do głowy druga. Nawet gdyby wszelkie względy polityczne usunąć, i wtedy trudnoby ułożyć listę zadowalającą. Cóż mianowicie jest w tej idei „Akademji" co ją jakoś dziś dyskredytuje — w oczach publiczności czytającej, społeczeństwa? Czy przyczyną tego brak pierwszorzędnych talentów? Na brak ten cierpi dziś literatura niewątpliwie, ale nie w tem rzecz chyba. Główną przyczyną jest bodaj oddalenie między literaturą rodzimą, a życiem umysłowem i moralnem kraju. Społeczeństwo żadnych prawie głębszych inspiracyj i impulsów nie bierze dziś z pierwszej ręki, od pisarzy rodzimych. Wyjątki są nieliczne. Starsi i t. zw. „znakomici" pisarze są dziś dla kultury „kapitałem martwym". Sieroszewski, Staff, Berent podziwiani są tradycyjnie — ale nie wywierają na życie umysłowe w Polsce najmniejszego wpływu. W bardzo wielkiej, ogromnej mierze jesteśmy zato, za pośrednictwem swoich literatów, domeną wpływów zagranicy. Chwałą Boya jest przecież, że popularyzował u nas ideje sędziego Lindsaya z Ameryki! Prawie wszystkie ideje, prawie wszystkie nowiny artystyczne przychodzą do nas zzewnątrz. Ogół to czuje, uświadamia sobie, że mało stosunkowo dzisiejszym „twórcom" zawdzięcza, i karmi się najchętniej marnemi przekładami. Rząd nad duszami sprawować rodzimej literaturze tem trudniej, że niektórzy z jej najgłośniejszych przedstawicieli są niewiarogodnemi nieukami (np. akademik Kaden, autor „Rzymian Wschodu"). Inni, przypadkiem usadowieni w akademji, reprezentują podobnież ciemną umysłową prowincję (Rzymowski)... Ani ten pisarz, co dawniej przewodził umysłom (Świętochowski), ani ten, co dziś najsilniejszy wpływ na nie wywiera (Dmowski), nie mogli znaleść się w akademickiem gronie w dzisiejszych warunkach. Świadczy to właśnie, jak fikcyjna z konieczności musi być w życiu intelektualnem rola nowej instytucji.

„WOLNOŚĆ", słowo cenione przez dawnych Polaków, nie należy dziś do pojęć polityki praktycznej. Jest zdykredytowane. Właściwie jest to kolej rzeczy dość dziwna. Czemuby naród miał tak pozbyć się słowa, z którego robił jednak użytek przez czas długi? Że niepraktyczne? A czy np. „elita" jest pojęciem praktyczniejszem? Wyraz ten upowszechnił się dosyć we frazeologji dziennikarskiej; oswojono się z „elitą" — mimo że od znalezienia jej bodaj dalsi jesteśmy dziś, w dobie popularności hasła, niż kiedykolwiek. Młodsi sanatorzy podchwycili je, ze względu na jego niezrównaną lekkość. „Myśl Mocarstwowa grupuje elitę młodego pokolenia" — czytaliśmy niedawno na murach Warszawy. Taką elitę znaleźć istotnie nad wyraz łatwo, poprostu nie trzeba spóźnić się z powtórzeniem nowego hasła... i jest „elita". Jeżeli nie wydaje się to tak kompromitujące i śmieszne, jak wydawać się powinno, to dlatego, że społeczeństwo przywykło, iż najgłośniej rozpowszechniane hasła w warunkach dzisiejszych

muszą być bez treści rzetelnej. „Elita“ ma ten sam dźwięk, co np. „demokracja“ lub „sanacja“, — dźwięk pusty, który ją rekomenduje. Dźwięk znajomy... Zauważmy zaś, że sukces „elity“, tak jak dziś go sobie wyobrażają, nie oznacza wcale zgonu wolności. Oznacza tylko zgon wolności cywilizowanej, usunięcie granic i reguł, powszechnie obowiązujących. Na to miejsce wchodzi do głów prymitywny kult doraźnego sukcesu. Szacunek dla jednostki niewątpliwie zmalał: ale tylko dla jednostki niezależnej. Prawa jednostki — politycznego lizusa lub karjerowicza, nie zostały przecież uszczuplone. „Wolność“ jest chyba najniepopularniejszem zawołaniem chwili obecnej. Nikt nie wie, jakie ma prawo. I nie wypada upominać się o prawo polityczne pojedyńczym podmiotom. Zaciążył nad umysłami kult zespołu, lecz podjętego najpierwotniej. W kulcie tym jest przecież jeden wyłom. Nie wypada jednostce cenić swoich praw politycznych, ale nie wolno jej nie cenić swoich praw ekonomicznych. Żadna wolność nie jest święta — oprócz wolności gospodarczej kupowania i sprzedawania. Kto rezygnuje z tej wolności — jest komunistą. Istotnie; ale chodzi nam tu tylko o wskazanie paradoksów, w jakich sprawę wolności uwikłał okres dzisiejszy nieporządnego myślenia o rzeczach politycznych.

NAUKA I LITERATURA

„OBRAZ NA CYNKU WYSTAWIONY”

„FESTINA LENTE“ — mawiał cesarz August, twórca wielu mądrych urządzeń państwowych, a gorliwy protektor oświaty i wiedzy. Ani jego metod, ani wspomnianej zasady nie przyjęli dzisiejsi hołdownicy „wyścigu pracy“, przeprowadzający w galopującem tempie radykalne reformy szkolnictwa i nakazujący napisanie w ciągu trzech tygodni nowych podręczników. Jeden z takich podręczników—na kl. V-ą powszechną — mamy właśnie przed sobą. Napisała go Janina Schoenbrenner (-owa? -ówna?), a zatytułowała „Dzisiaj i dawniej na ziemiach polskich“. Ktoby wątpił o narodowości i sentymentach autorki, przekona się o nich z samych ilustracyj (zresztą prostacko wykonanych i odbitych); chrzest Polski (trefne!), obrona Wiednia przez Sobieskiego, zwycięstwo grunwaldzkie—nie dostąpiły łaski w oczach p. Sch., natomiast na całą szerokość stronicy rozpanoszył się obraz Gersona, przedstawiający przybycie żydów do Polski. Kossak, Simmler, Brandt, Wyspiański nie istnieją, ledwo że dano tu i owdzie jakiś kącik Matejce, natomiast co parę stron widzimy zamazaną odbitkę z obrazków Cynka („obraz Rzeczypospolitej na cynku wystawiony“ — jak to niegdyś pisał Orzechowski); żeby zaś wyrobić w widzu mniemanie, że te żydy jednak dużo wydały malarzy (nietylko lakierników), p. Sch. po salomońsku rozcięła nazwisko Eljasza Radzikowskiego, tak iż na tej samej stronie figuruje raz tylko „Radzikowski“, a dwa razy „Eljasz“; natomiast mogła już Gersonowi zostawić jego „Śmierć Wandy“ zamiast oddawać ją Piotrowskiemu. Inne ilustracje zostały przez autorkę książki nazwane „fotografjami“, choć ślepy nawet pozna, że większość z nich—to tylko nieudolne (więc słusznie niepodpisane) rysunki. Największą zagadkę stanowi „fotografja“, przedstawiająca „zamek w Dobromilu“, pełen baszt, szańców, wieżyc, doskonale zachowany i snać jeszcze po dziś dzień zamieszkany, bo okna wszystkie wyszlifowane jak na Marszałkowskiej!.. Kto choć raz zwiedzał zamek dobromilski, wie dobrze, że to dawne gniazdo Herburtów z dawien dawna leży w zupełnej ruinie, z której ledwie się uchowała brama wjazdowa i kawał niewielki muru. Może to zatem „fotografja“ jeszcze z tych czasów, kiedy żył ów „Pielgrzym w Dobromilu“, którego opowiadania służyły naszym prapraojcom za elementarny podręcznik historji polskiej?...

Nie bez kozery wspomnieliśmy „Pielgrzyma w Dobromilu“. Stara ta i bezpretensjonalna książczyna nawet dziś byłaby pod każdym względem lepszym podręcznikiem szkolnym, niż produkt p. Schoenbrenner. Albowiem jak ilustracje, tak i treść jej książki jest tworem tandetnym. Język pretensjonalny, banalny, gdzieniegdzie skażony rusycyzmami (*a* zamiast *ale* i t. p.), przestankowanie wprost karygodne: dość wspomnieć, że podmiot od orzeczenia bywa oddzielany przecinkiem! Jeżeli gdzie, to w podręczniku szkolnym takie rzeczy nie uchodzą! Ale z polonistyką wogóle p. Sch. jest mocno na bakier; twierdzi np. że Jan Kochanowski urodził się w Czarnolasie (!!), gdzie zachowały się jakoby po nim jakoweś „pamiątki“ (?!); tenże Kochanowski w swoich Satyrach (-(aż tak się rozmnożyło potomstwo „dzikiego męża“!?)-) wydrwiwał (-(?)-) wady szlachty“. Modrzewski i Skarga są w niełasce u p. Sch., natomiast o Reju rozwiodła się szeroko, twierdząc, że napisał on wiersz „Temu w nauce dank przed sobą dawam i pieśń bogini słowiańskiej (!) oddawam“— ależ to bajka wierutna późniejsza, która zresztą mówi o improwizacji Reja, nie o „napisaniu“, bo takiego wiersza jako żywo niema wśród pism Rejowych. Za „ważną“ datę uznała autorka rok ożenku Reja, natomiast o unji florenckiej i brzeskiej głucho zupełnie, a szkoda, bo możeby, poduczywszy się nieco na ten temat, p. Sch. nie napisała takiej bredni, że za Kazimierza Wielkiego była na Rusi Czerwonej „religja grecko-katolicka“; przedewszystkiem jest tylko jedna religja katolicka, a obrządek grecki czy łaciński, powtóre zaś unja zaczęła się szerzyć naprawdę dopiero w XVII wieku, a jeszcze w XVIII w. był w Przemyślu biskup prawosławny... Ale na sprawach chrześcijaństwa p. Sch. zna się tyle, co koza na pieprzu; boki można zrywać, spotykając się na każdym kroku z kardynalnemi nonsensami. Na każdym kroku, powtarzam,— bo p. Schoenbr., chcąc „ożywić“ nudny swój wykład, urządza swoim uczennicom w epoce średniowiecznej wycieczkę do jednego z klasztorów męskich, gdzie „dostawszy pozwolenie“ uprzejmego opata, smarkate a nachalne kozy pakują się za furtę, idą krok za krokiem po korytarzach klasztornych, zaglądają do cel, do kaplicy, ogrodu... Miałoby się ochotę zawołać: „Dziewczyno, stój, stój!“ — albowiem za furtą zaczyna się klauzura, za którą wstęp kobietom surowo wzbroniony, dla żydówek zaś w wiekach średnich są i prawa specjalne i specjalne dzielnice miejskie, w których nie brak i mykwy; ot, tam lepiejby pani poprowadziła swą młodzież!

Jak o klasztorach, tak i o duchownych nie ma p. Sch. zielonego pojęcia. Papież — to u niej jakby cadyk chrześcijański; od kogo są biskupi zależni, tego ona nie wie (str. 22). Opowiadając o prześladowaniach żydów w Europie zachodniej, wyjaśnia, że żydzi tylko wedle mniemania krzyżowców ukrzyżowali Pana Jezusa... Z lekką drwiną, mogącą urazić katolika, mówi p. Sch. o relikwjach świętych, a trochę bezczelnie sobie poczyna, czyniąc Kościół Katolicki wyłącznym wrogiem Kopernika i jego systemu; wszak wiadomo, że dzieło „O obrotach niebieskich“ zostało dedykowane papieżowi i że najzawzięciej zwalczał je w swoich „*Trinkreden*“ Marcin Luter, a za argument przeciw Kopernikowi służył wysunięty i cytowany przez starozakonnych tekst księgi Jozuego... Ale wiadomości swe o Koperniku zdobyła autorka tylko z jakichś przestarzałych broszurek popularnych, skąd przejęła nawet poprzekręcane fakty i nazwiska (Watzelrode zamiast Waczenrode). A istnieją przecie o Koperniku dzieła i studja poważne...

Jak w nazwiskach, tak nietęga jest p. Sch. w datach i w geografji.

Twierdzi np., że „Słowianie aż do X wieku nie tworzyli państw“; jest to fałsz najoczywistszy, skoro już w IX wieku istniało potężne państwo wielkomorawskie Świętopełka. Nieścisłą conajmniej jest wzmianka o „słowiańskiem“ pochodzeniu Prusów (str. 49); lud ten był pokrewny Litwinom

i Łotyszom, nie Słowianom; wajdeloci byli nietyle kapłanami, co śpiewakami—i to właśnie u Prusów. Dziecinną powiastką jest wiadomość, jakoby dzwon Zygmunta był ulany z armat, zdobytych pod Obertynem: bitwa ta przecie odbyła się w r. 1531-ym, a dzwon podniesiony został na wieżę akurat dziesięć lat przedtem, 13 lipca 1521 r. (Windakiewicz: „Dzieje Wawelu“, str. 93).

Na tem nie kończy się lista błędów tej książki, my jednak musimy kończyć, bo recenzja urosłaby w czwórnasób. Chyba wystarczą te, które wyliczyliśmy, a jest ich na początku książki jeszcze stosunkowo mało. Im dalej w las, tem więcej drzew. Nadmieniliśmy, że autorka jest bezkrytyczna w używaniu źródeł, posługuje się przestarzałemi i popularnemi broszurkami, zamiast czerpać fakty z poważnych dzieł naukowych. Nic też dziwnego, że jedynym „historykiem“, na jakiego się p. Sch. powołuje (str. 30), jest — Kazimierz Wład. Wójcicki, stary gawędziarz z czasów romantycznych, który sam nigdy nie rościł pretensyj do tytułu historyka. Tak jest, powtarzamy, podręcznik p. Sch. stoi pod każdym względem poniżej czcigodnego, ale przestarzałego „Pielgrzyma w Dobromilu“. Należy go ze szkół wycofać, jeżeli się chce uniknąć kompromitacji na całej linji! QUINCUNX

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Formowana pośpiesznie przez „sanację“ Akademja Literacka nie może zacząć swej działalności z powodu nieprzewidzianych przeszkód: parę osób powołanych wymówiło się od „nieśmiertelności“, mianowicie powieściopisarz Andrzej Strug i poetka Kazimiera Iłłakowiczówna. Na ich miejsce wejdą: Bol. Leśmian (Lesman) i komedjopisarz Jerzy Szaniewski. W prasie Akademja spotkała się z wyrzutem z powodu pominięcia tak wybitnych talentów i zasług, jak Al. Świętochowski, Marja Rodziewiczówna, Kazimierz Tetmajer. Przypuszczać jednak można, że osoby te były zaproszone, ale odmówiły. W świecie literackim panuje zdziwienie, skąd się wziął na fotelu literatury dziennikarz Wincenty Rzymowski. Naszem zdaniem p. Rzymowski ma tam więcej racji bytu, niż ktokolwiek inny. P. Rzymowski jest autorem jednej tylko publikacji, ale jakże doniosłej! Jest nią broszura p. t. „Roman Dmowski — czciciel djabła“. Artykuł pierwszy ustawy Akademji opiewa, że członek Akademji „winien współdziałać ze wszystkiemi poczynaniami rządu“.

„Gazeta Polska“ podała autentyczne wyjaśnienie epizodu, dotyczącego p. K. Iłłakowiczówny. W liście, wystosowanym do założycieli Akademji, wyrażała obawę, że stanowisko urzędowe, które zajmuje, i zajęcia literackie nie pozwolą jej oddać się należycie ważnym zadaniom Akademji. Widocznie członkowie Akademji przywiązują wielką wagę do robót, które mają przed sobą, skoro list ten uznali za rezygnację.

Pracy będzie wiele, to znaczy posiedzeń, bo — jak słychać — akademicy wynagradzani będą za każdy udział w posiedzeniu. Żeby ten udział ułatwić, dodano im prawo bezpłatnego korzystania z kolei państwowych (I kl.). Szkoda wobec tego, że — prócz jednego Rostworowskiego — wszyscy akademicy mieszkają w Warszawie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Praca nad wydaniem sejmowem dzieł Adama Mickiewicza posunęła się tyle, że już kończy się druk tomu VI, zawierający: „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego“ oraz artykuły Mickiewicza, drukowane w czasopiśmie „Pielgrzym Polski“ (jest ich około 30). Część tę opracował prof. St. Pigoń. Do tego tomu wejdą też pisma historyczne Mickiewicza w opracowaniu Płoszewskiego i Pigonia. Będzie to wspaniały hołd, złożony autorowi „Ksiąg“ właśnie w stulecie. Zaczął się już druk tomu IV, w którym będzie „Pan Tadeusz“, oraz tomów, zawierających prelekcje paryskie i listy. Zaczem drukarnia przystąpi do składania tomu VII, z prozą francuską Mickiewicza — w opracowaniu J. Kowalskiego, Pigonia, Płoszewskiego i innych.

*

Omawiając niedawno na tem miejscu mocno stronniczą i jednostronną historję literatury rosyjskiej Lackiego, przetłumaczoną w sposób niedołężny i mimowoli humorystyczny przez niejaką Rosenberżankę, zaznaczyliśmy, że przedsięwzięcie to było i chybione i niepotrzebne, gdyż oddawna mamy obszerną i wartościową historję tejże literatury, napisaną przez Brücknera (wyd. Ossolineum, 2 tomy). Teraz to już mamy niemal nadmiar podręczników w tej dziedzinie, bo prócz działu rosyjskiego w „Literaturze powszechnej“ Lama, prócz ciekawych monografij i przyczynków, dawanych przez W. Lednickiego, S. Baczyńskiego, T. Parnickiego i in., otrzymaliśmy jeszcze jedne „Dzieje literatury rosyjskiej“ napisane znów przez Brücknera. Wiadomo, że Brückner każdą ze swych ważniejszych książek przefasonowywał coraz to inaczej w każdem z następnych wydań—tak iż powstawało zamiast nowego wydania dzieło zupełnie nowe, odmienne, często krańcowo innego typu. Przedewszyskiem podziwiać należy Brücknerowską zdolność robienia skrótów własnego wykładu; ponieważ w małej książeczce musi zmieścić wiele treści, więc nieraz używa stylu wprost telegraficznego; zdanie porozrywane średnikami co dwa słowa nie należy do rzadkości. Drugą cechą brücknerowskiego stylu jest poddawanie się suggestji środowiska, o którem mowa; przeto, pisząc o Reju, Brückner sypał archaizmami: teraz zaś co krok spotykamy wręcz przerażającą nieraz masę rusycyzmów — a więc język „dziaduszki“ (!) Kryłowa „napomina“ mowę ludową, Puszkin w „liceju“ przedzierzgnął się w Rosjanina, cechą duszy rosyjskiej jest „leń fizyczna i umysłowa“ i t. p. na każdym kroku. Przyznać należy, że styl taki bawi czytelnika, ożywia wykład, a niekiedy jest surogatem długich omawiań przez zwroty: „t. zw.“ etc. Z drugiej strony uderza nas to, że autentyczne nazwiska lub wyrażenia wielkoruskie Brückner podaje często w formie niby małoruskiej, na poczekaniu ukutej. W każdym razie dużo się z tej książeczki dowiedzieć można; dodatkiem najciekawszym jest rozdział o literaturze sowieckiej, ujęty oryginalnie a trzeźwo, bez tych zachwytów niewczesnych, jakie (na podstawie ohydnych przykładów polskich, a raczej żydowskich) wypowiadali różni pisarkowie efemeryczni i niedokształceni. Prócz lektury, jaką przetrawił ten człowiek, zawsze czas mający na wszystko, informacyj dostarczać mu musieli i przebywający w Berlinie Rosjanie; wnosić tak można na podstawie ustępu o Szkłowskim. Tak reklamowany u nas „Ilja“ Ehrenburg został w książce Brücknera zredukowany, natomiast przodujące miejsce otrzymał słusznie Diemian Biednyj, tak ważny twórca tej doby i przedstawiciel prawdziwie rosyjskiej literatury. (B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znana księgarnia paryska Payot'a wydaje bardzo niezwykłą „Bibljotekę Historyczną“ „(*Bibliothèque Historique*“), w której znajdujemy, między innemi, aż dwie historje żydów, następnie „Historję Cywilizacji Izraela“, a nawet historję „Domu Rotszyldów“ i t. p., natomiast ani jednej historji Polski. Dopiero z powodu 250-ej rocznicy Odsieczy wiedeńskiej kierownictwo wspomnianej „Bibljoteki“ uznało za właściwe wydać historję Sobieskiego (J. B. M a r t o n: „*Sobieski, Roi de Pologne* 1629—1696“. Str. 296). Rzecz ta, pisana dla szerszego ogółu, zawiera żywot króla Jana III, rozwinięty na tle ówczesnych dziejów Polski oraz powszechnych. Autor, jak widać, nieźle zorjentowany wogóle w historji Polski, pisał książkę swoją z uczuciem szczerej sympatji dla niej, a z uwielbieniem dla jej rycerskiego króla.

„Książka ta“, powiada autor, „jest historją szlachcica polskiego XVII-go wieku, którego życie zeszło na walce z Turkami i Tatarami, a umarł królem i okryty chwałą. On to powziął i wykonał ostatni wielki czyn, przynoszący zaszczyt jego Ojczyźnie, przed jej upadkiem... Jedynie siła moralna, która nigdy go nie opuszczała, może wytłumaczyć te jego zwycięstwa nieustanne nad wrogiem, przewyższającym liczbą. W momentach najbardziej krytycznych, absurdalna konstytucja polska powściągała nadto szybkość jego akcji, i często przekonywał się on, iż w chwili, gdy trzeba było ruszać na wroga, jego ministrowie, a nawet własna żona, spiskowali z posłami obcych mocarstw, paraliżując jego działalność. Powtarzam, tylko siła moralna mogła mu zachować wiarę w siebie samego, pomimo tego ogromnego ciężaru odpowiedzialności, jaki go przytłaczał“...

W takim duchu jest napisana ta książka o Sobieskim, oparta zresztą na materjale źródłowym polskim i obcym. W każdym razie z książki tej dowie się czytelnik, że dzieje Sobieskiego oraz Polski jego czasów, nie były mniej ważne i ciekawe od dziejów domu Rotszyldów... (W. J.)

TEATR

SZEKSPIR: MIARKA ZA MIARKĘ.

KOMEDJA SZEKSPIRA, wystawiona teraz w teatrze Polskim, „Miarka za miarkę“, nieznana była dotąd na scenach warszawskich. Podobno T. Pawlikowski wystawił był ją we Lwowie w trzysta lat, odkąd Szekspir ją napisał, bo w r. 1903.

Tematem zamyślenia poetyckiego w tej sztuce jest człowiek jako igraszka na falach namiętności. Wcielony Kato,

namiestnik Wiednia, mając przecież koło siebie wiele kobiet łatwych do zdobycia i właśnie powołany do karania niekrępowanej chuci, sam nadużywa swej władzy, aby posiąść dziewicę z klasztoru. Szedł po nią przez zbrodnię zbrodni, bo łamiąc prawo, którego był stróżem.

Myśl poetów dziwowała się wtedy mocom przyrody, utajonym w człowieku, rwącym tamy, stawiane im przez urządzenia społeczne. Wyciągnięte przez namiestnika Angelę z lamusa średniowiecznego prawo karania cudzołożnika, prysło w ręku tegoż prawa wykonawcy. Komedja Szekspira tchnie tolerancją wolnych obyczajów i znajduje wymowne motywy miłosierdzia dla grzesznych.

Fabuła komedji, jak uczy historja tego utworu, nie jest wymysłem Szekspira. Była już w połowie XVI wieku podstawą pewnej komedji włoskiej (Giraldi Cinthio), potem czyjejś powieści i jeszcze jednej komedji angielskiej (Whetsona), skąd dopiero wziął ją Szekspir, robiąc z tego materjału użytek prawdziwie teatralny.

Przypominam umyślnie historję, bo gdy się nie wezwie na pomoc wyobraźni historycznej, sztuka musi się wydać zbyt naiwną. Zwłaszcza szerokiej publiczności należałyby się przy takiej sposobności obszerniejsze wykłady historyczne, aby publiczność odzyskała w teatrze miarę rzeczy artystycznych, utraconą wskutek kultu aktualności.

Komedja, mająca zgórą 300 lat, nie straciła swej wagi ludzkiej. Myśli, które się tu słyszy, o prawie, praworządności i odpowiedzialności elity, sprawującej rządy, przynoszą zaszczyt ówczesnej cywilizacji, a nam — niestety — każą się rumienić za nasze w Polsce czasy. Są bardzo aktualne i pouczające.

Za wysiłek artystyczny należy się teatrowi wdzięczność. Wystawiono rzecz z chwalebną prostotą. Wszystko się dzieje w jednej dekoracji, na scenie naiwnie rozplanowanej, co daje spektaklowi charakter szopki i koncentruje uwagą na ludziach. Aktorzy mają wiele do pokazania, co można z maski uczynić. Szekspir daje przestwór szerokiemu gestowi. Nie wyzyskano tego dostatecznie. Najpełniej wypowiedzieli się aktorzy rutynowani: pp. Fabisiak, Małkowski, Chmielewski i Kondrad. Tęgo grał p. Socha w roli Angela, miłe wrażenie robił Klaudio p. Mileckiego. P. Kreczmar robił księcia zbyt monotonnie, nie umiejąc utrzymać głosu na równi, jakby operował na zmianę dwu organami mowy. Panie Borowska i Niwińska oraz Muncligrowa dzielnie się spisywały.

Teatr uciekł się do przekładu Ulrycha z poprawkami p. Rusinka. Z Kasprowicza przekładu nie skorzystał, pewno dla uniknięcia rozmów z jego spadkobiercami. A szkoda, bo tekst Kasprowicza wydaje mi się soczystszy, bardziej artystyczny oraz czystszy w polszczyznie.

W.

P. S. Przyznając się do błędu z niedosłyszenia, zamieszczam jako sprostowanie kartkę otrzymaną z Wieliczki:

„W świetnym artykule o dramacie K.H. Rostworowskiego „U mety“ w nr. 43 „Myśli Narodowej“, — jak stwierdziłem, — zaszła pomyłka, bo główny bohater nosi nazwisko „Szywała-Szywalski“, a nie Szybalski. O łaskawe sprostowanie proszę ze względu na serdeczną pamięć o zmarłym przed 2 miesiącami w Krakowie, moim starszym koledze i przyjacielu Mieczysławie Szybalskim, bardzo poważanym mężu, wielkiego serca, członku ofiarnym b. wielu tow. filantropijnych i oświatowych.

Fr. Sypowski“

ZEMSTA

KAŻDEMU sztubakowi i każdej pensjonarce w Polsce wiadomo, że „Zemsta“ Fredry rozpoczyna się od rozmowy Cześnika z Dyndalskim. Najlepsza z komedyj największego polskiego komediopisarza została w Teatrze Narodowym przeinaczona. Inscenizator postanowił ją ulepszyć i kazał aktorom rozpocząć widowisko od sceny szóstej — djalogu Wacława z Klarą. Nie dosyć na tem. „Ozdobił“ arcydzieło fredrowskie zupełnie niepotrzebnemi wstawkami: pieśnią o Filonie podczas rozmowy Klary z Wacławem oraz piosenką, śpiewaną przez mularzy w scenie siódmej. Piosenka owa rozwlekła najniepotrzebniej ową scenę i odwróciła uwagę słuchaczy od słów Papkina.

Służbę Cześniaka, rozpędzającą pod dowództwem Papkina i Śmigalskiego mularzy, zaopatrzył reżyser w pałki gumowe, przedzierzgając poczciwych wiejskich parobków w nowoczesnych bojówkarzy politycznych, czy też w przebranych policjantów. Kazał w dodatku, po spędzeniu mularzy ze sceny tłuc ich głośno przez parę minut owemi gumowemi palicami tuż za kulisami, przez co zepsuł zupełnie efekt sceny pierwszej aktu trzeciego. W scenie tej, jak wiadomo, Rejent Milczek usiłuje wmówić w mularzy, iż zostali pobici i pokaleczeni, podczas gdy naprawdę zajście ograniczyło się do przerwania im roboty i do odebrania narzędzi. Dzięku panu Borowskiemu, który kazał katować mularzy przez parę minut— rozmowa Milczka z majstrem mularskim wypadła zupełnie nieprawdopodobnie. Mularze kłamali wobec Rejenta, twierdząc, że ich nie poturbowano. Słyszeliśmy przecież wszyscy — ilu nas było widzów w teatrze — na własne uszy, że zostali sprani co się zowie.

„Ulepszając“ w ten sposób i uzupełniając Fredrę — pan Borowski poszedł za złym przykładem Juljusza Osterwy, który również uważał za wskazane, inscenizując przed kilku laty „Zemstę“ w Teatrze Narodowm, poprzedzić widowisko pantominicznym prologiem własnego wynalazku. Podczas owego prologu kapelan Cześnika odprawa w zamkowej kaplicy za kulisami Mszę Świętą, a służba dworska biegała po scenie z liścikami miłosnemi.

Ani jednak owa pantomina Osterwy, ani wstawki i przeinaczenia pana Borowskiego nie zdołały „Zemście“ wyrządzić dużej krzywdy. Komedja ta, nawet w „twórczem“ opracowaniu inscenizatorów nowoczesnych, którzy wysilają się, żeby konceptami własnemi zaćmić Fredrę — pozostaje widowiskiem rozkosznem, budzącem zachwyt i entuzjazm wśród publiczności.

Cześnika gra Jerzy Leszczyński (dawniej grywał w „Zemście“ role Wacława i Papkina). Prezentuje się świetnie. Mógłby nieboszczykowi Matejce służyć jako model do senatorskiego portretu na któremkolwiek z historycznych płócien. Nietylko charakteryzacja, lecz również mimika i gestykulacja jest doskonała. Rolę opracował w najdrobniejszych szczegółach. Opanował wiersz fredrowski kapitalnie. Wkłada w grę bardzo dużo żywiołowego temperamentu i humoru, raz po raz budząc żywy oddźwięk wśród publiczności, która oklaskuje go co chwila, przerywając mu niekiedy tyradę w pół słowa. Czujemy, słuchając Leszczyńskiego, że ta rozkosz, którą nam sprawia w roli Cześnika, z czasem jeszcze się pogłębi. Rola owa „leży na nim“ znakomicie, jak świetnie skrojony, nowy kontusz. Nowość jej jednak zanadto wpada w oczy. Jest nieco za jaskrawą. Cóż to będzie za biesiada w przyszłości, gdy Leszczyński nieco podstarzeje i gdy rola Cześnika całkowicie się na nim „uleży“.

Pod adresem Węgrzyna, który gra rolę Rejenta Milczka, należałoby wysypać taką samą porcję komplementów, jakąśmy skierowali do Leszczyńskiego. Kreacja węgrzynowska Milczka jest aktorskiem arcydziełem. Ale podobnie, jak w Cześniku Leszczyńskiego, tak samo w Węgrzynie-Rejencie razi nas (jeżeli się tak można wyrazić) — młodość. Przywyk-

liśmy w tej roli oglądać starców. Młodzieńczość (relotywna) Węgrzyna, która tak świetnie harmonizuje z rolami Kordjanów, Konradów, Cydów i Don Juanów — z rolą Milczka kontrastuje jeszcze ostro. Dopiero gdy Węgrzyn dożyje czterdziestolecia pracy scenicznej — arcydzielny jego Milczek da nam *maximum* przyjemności.

Maximum jej dał nam natomiast już teraz Maszyński w roli Papkina. Był to niewątpliwie najlepszy Papkin, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się nam oglądać. Widywaliśmy lepszych Cześników, niż Jerzy Leszczyński. Widywaliśmy lepszych Rejentów, niż Węgrzyn. Ale lepszego Papkina, niż Maszyński, nie widzieliśmy nigdy.

Solski powtórzył cudownie rolę Dyndalskiego, sprawiając nam, jak zawsze, wielką przyjemność. Podstoliną znakomitą była pani Ćwiklińska. Wacławem — młody Roland, Klara — p. Lubieńska.

Podstolina wystąpiła w dezabilu i fryzurze *à la Marie Antoinette*. Klara miała na sobie suknie empirową. Otóż wydaje się nam rzeczą mało prawdopodobną, żeby prowincjonalna gąska ubierała się nowocześniej od stołecznej elegantki.

ZASTĘPCA

FILM

ŚWIATOWID „Rozkoszne kłopoty" reż. Taurog.

Miły i na szczęście nie nadużyty jeszcze temat tego filmu może podobać się wszystkim. Bohaterem niefrasobliwej opowieści jest mały bobas, który sam oczywiście nie wiele wyczynia, bo i nie potrafi, zato innych zachęca do niebylejakich nadzwyczajności i nieraz staje się przyczyną okrutnego zamieszania.

A rzecz ma się tak: bogatemu i młodemu arystokracie, paryżaninowi, podrzucono do auta dzieciaka. Młody szaławiła z początku zżyma się, chce oddać bębna do przytułku, lecz mały kokiet podbija serca i pana i jego kamerdynera, tak iż wkońcu zostaje i nietylko zostaje: mało tego, zajmuje sobą cały dom, w którym wszystko zaczyna się kręcić wokół małego, jak naokoło osi.

Na tem tle osnuto szereg perypetyj komedji, wyreżyserowanej zręcznie, o wielu scenach zabawnych. Do takich należy np. scena golenia, której śmieszność wypływa z sytuacji i jest zupełnie zrozumiała bez wyjaśnień słownych. Okazuje się, że nawet w filmie mówionym najbardziej wyraziste (w komiźmie, lub innym nastroju) są właściwie także fragmenty nieme, a w każdym razie udźwiękowione, lecz nie mówione. Szkoda tylko, że całej komedji nie utrzymano w jednolitym typie, doczepiając wątek romantyczny (młody opiekun zakochuje się w uroczej niańce dziecka). Sceny, wynikłe z tego drugiego wątku, są już całkiem innego kalibru. Z tego wniosek: albo realizatorom komedji nie starczyło konceptu na wyprowadzenie wszystkich sytuacyj z jednego źródła, albo obawiali się, że film bez miłości, choć z dzieckiem, nie będzie kasowy.

Grają: Chevalier i nowa aktoreczka, b. subtelna (nazwiska nie pamiętam).

KANDYD

W ROZMÓWNICY

PRZYPADKIEM — bo oczywiście nie czytuję żydowskiej prasy — wpadł mi w ręce nr. 25 jakiejś „Opinji", wychodącej w Warszawie, z tego rodzaju kwiatkiem:

> „Myśl Narodowa" byłaby zapewne zadowolona, gdyby żydów wogóle w Polsce nie było. Ale cóżby wtedy uczynił bez nich wierny współpracownik, szlachcic Michał Pawlikowski, pan na Medyce, drukujący w „Myśli" swój artykuł? U kogoby kupował? U kogoby pieniądze pożyczał i komuby z zapłatą zwlekał? Nu? Chyba nie Wasilewskim, ani Rembielińskim?"

W ślepej pasji przeciwko mym refleksjom co do otrucia Mickiewicza, do których podstaw lojalnie czytelnika odesłałem, — a którym zresztą winna jest nie tyle moja skromna osoba, ile rewelacje zasłużonego podsłuchowcy p. Żeleńskiego, — żydowinowie strzelają kulą w płot.

Nie po to, aby ich cenne „opinje" uspokoić, ale dlatego, że i wśród Polaków panuje istotnie mylne przekonanie iż każdy szlachcic musi siedzieć w kieszeni żydowskiej, pozwalam sobie stwierdzić krótko, co następuje:

1) Stan moich długów u żydów i w firmach żydowskich lub kryptożydowskich wynosi jeden i ćwierć procent ($1^1/_4$%) czyli 12 i pół promille całego mego zadłużenia. Każdemu, kto zechce stanąć o zakład, że procent ten jest wyższy, oferuję 1000 zł. przeciw stu i dopuszczę go do zbadania wszystkich mych ksiąg gospodarczych i jakie zechce dokumentów, któreby go mogły oświecić. Jeżeli tak stosunkowo drobne kwoty, mimo mej do nich abominacji, wiszą na moim rachunku, to dlatego, że nie uważam za potrzebne wpłacać i przywilejować mych zobowiązań wobec żydów przed zobowiązaniami wobec katolików. Proweniencja zaś pięciu wszawych pozycyj pochodzi częściowo z cedowania pretensyj do mnie katolickiego wierzyciela na żyda, a częściowo tylko z powodu niedość ścisłego zrozumienia instrukcyj przez mego administratora podczas mej nieobecności. Oczywiście nie byłoby to usprawiedliwieniem, gdyby wogóle było o czem mówić. Administrator mój mylnie przypuścił był, że żartuję, kiedy mu powiedziałem, że jeśliby dwu gwoździ nie dostał w Przemyślu u katolików, to ma po nie posłać choćby do Poznania. Na jego obronę stwierdzić muszę, że istotnie potrzebnych w danym wypadku towarów w Przemyślu u katolików dostać nie mógł. Najgrubsza zaś z tych pozycyj wynikła z reszty z niewielkiej zbożowej tranzakcji wymiennej, bezpośrednio po fakcie, kiedy młyn w Rybarzowicach p. Dobiji zarwał mnie na 21,000 zł., a Tow. „Granum" na 11,000, administrator mój zaś bardziej zadbał o moją kieszeń, aniżeli o moje zasady. Ale powtarzam — są to humorystyczne cyfry. A już nigdy, odkąd żyję, nie zaciągnąłem najmniejszej pożyczki u żyda.

2) Co zatem ja robiłbym bez żydów, na to odpowiedź dostateczną daję, co każdemu szmajgełesowi lwowskiemu wiadome było przed wojną: że nie wiadomo co żydzi robiliby bezemnie. Ja to bowiem uratowałem na prośbę żyda jego miljonową firmę od bankructwa i posiadam do dziś korespondencję, wyrażającą mi za to dozgonną wdzięczność. Włożyłem w tę sprawę nietylko i nietyle kapitał — który ze mną włożyli i inni Polacy, ale 3 lata mego najlepszego życia i osobistej pracy. Uczyniłem to nietylko dlatego, że przed wojną mieliśmy jeszcze złudzenia, ale przedewszystkiem dlatego, że z tą firmą związanych było mnóstwo Polaków i polskich firm (w czem jednak żaden mój krewny i nikt związany ze mną interesami), którzy byliby runęli w razie zawalenia się tej firmy. Była to księgarnia Altenberga.

3) Żydzi, dzięki lekkomyślnej łasce, ale w każdym razie łasce Polaków, dzięki przywilejom i protekcji, dzięki dobroci i miękkości społeczeństwa, wypierają z placówek handlowych ludność rdzenną. Jakiemi zresztą środkami do tego się przyczyniają, na to nie trzeba sięgać do statystyki kryminalnej. Wystarczy np. jeden szczegół, znany wróblom na dachu, że nikt siana nie może w Polsce sprzedawać bezpośredniemu odbiorcy, ale że je dla tego odbiorcy zawsze sprzeda pośrednikowi żydowskiemu. Ten czarodziej najgorsze siano umie zamieniać na najlepsze. — Dzięki więc łasce polskiej i sposobom czarodziejskim, wypierając rdzenną ludność i wciskając się wszędzie, mają tupet pytać, coby ludzie bez nich robili, gdyby im oni nie chcieli sprzedawać, czy od nich kupić towaru, którego opanowali monopol! Drogą tej samej logiki mogliby zapytać gangsterzy, coby bez nich robili Amerykanie, gdyby oni nie chcieli im odprzedawać uprowadzonych członków rodziny.

Takim to tonem potomkowie Janklów, Srulów i Gedalich, wieszających się ongi u rękawów szlachty, pozwalają sobie dzisiaj do tej szlachty przemawiać. Choć w tym wypadku strzał był osobiście chybiony, wymierzony on był przeciwko szlachcie wogóle i każdy, mający poczucie godności narodowej i osobistej, powinien to sobie uświadomić.

Co do mie, dotąd wprawdzie ani ja, ani moja Żona, ani służba moja domowa nie kupuje w sklepach żydowskich i będę nosił jedną skarpetkę czarną, a drugą niebieską, jeśli innych nie dostanę u katolików, — wyznaję jednak, że w dwu wypadkach odstępowałem czasem od zasady, najpierw dlatego bo tych dwu wyjątkowych żydów szanowałem jako jednostki, a potem dlatego, że istotnie byli prawie nie do zastąpienia. Od dzisiaj, wobec insynuacyj żydowskiego pisma, te ostatnie, słabe nici muszę przeciąć. Gdyby to nawet nie szło po linji moich przekonań, to czy mógłbym wobec tego postąpić inaczej?

Źle się litwaki zasługują współwyznawcom, a przekonają się jeszcze dowodniej, że nas bezkarnie zaczepiać nie wolno.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

OFENSYWA

OPÓŹNIONE KONFISKATY

W PAR EXCELLENCE prowokacyjnym, nowym, obfitym a podejrzanie tanim tygodniku pansemickim „Opinja" dwa miesiące temu niejaki Jakób Zineman bardzo uroczyście zapowiedział druk nowej żydowskiej pracy historycznej o Chrystusie, pióra jakiegoś Klausnera, „profesora" Klausnera. Autor pochodzi z *ghetta* Odessy, był uczniem i przyjacielem osławionego Achad Haama (Mędrca Syjonu), swego czasu uciekł do Jerozolimy i tam dostał „katedrę" religjologji przy uniwersytecie hebrajskim. W r. 1922 zabrał się do pisania „objektywnego", „odbronzowionego" dzieła historycznego p. t. *„Jejszu Hanocri"* w języku hebrajskim i dzieło to wydał, poczem zaraz tłumaczono je na rzekomo wszystkie języki świata. W reklamie Zinemana zaznaczono, że przeciw temu epokowemu dziełu wystąpili gwałtownie misjonarze chrześcijańscy (ale także i skrajni ortodoksi), nadto, choć dzieło wydane w r. 1922, także i... cesarz Wilhelm. W Polsce miało osiem (8) hebrajskich wydań, z których ani jedno nie zostało skonfiskowane. Zachęceni tą bezkarnością geszefciarze zdecydowali się przetłumaczyć książkę na język polski. Tłumaczenia podjął się niejaki Jeremiasz Frenkiel (nie aresztowany). W prowokacyjnym tygodniku „Opinja" wyszło swobodnie dziewięć ciągów całostronicowych i dopiero po 9-tym ciągu nastąpiła zasłużona konfiskata, przyczem atoli sprawcy pozostali całkiem bezkarni i tygodnik „Opinja" nadal sobie wychodzi. Nie tylko to, ale jeszcze odgraża się sprawą sądową, czyli zamierza przez rozgłos i skandal wyzyskać konfiskatę dla reklamy dzieła prof. Klausnera. Szelmowskim spekulacjom bandy tych prowokatorów trzebaby więc jakoś zapobiec. We Włoszech nigdyby się na coś podobnego nie odważyli, ani w dzisiejszej (październikowej) Hiszpanji lub Austrji. Z Niemiec, po wydaniu lub drukowaniu czegoś podobnego, jednak ani jeden żywcem by nie uszedł. U nas szykują się do procesu i do dalszej prowokacji, nie jasnowidząc, że za takie rekordy prowokacji wcześniej czy później ciężko, bardzo ciężko, kolektywnie odpowiedzą. Nawet nie przeczuwają dyrektorzy „Opinji" i geszefciarze, lansujący Klausnera, jak temi dziewięcioma ciągami zaszkodzili swoim współwyznawcom i współrasowcom i jak te dziewięć ciągów będzie im w krytycznym czasie (*le grand soir*) przypominanych.

Podobnych w tendencji dzieł naukowych każdy inteligent polski starszej daty miewał w ręce, od Woltera poczynając, kolejno kilka lub kilkanaście. Ojcowie i dziadowie entuzjazmowali się swego czasu Renanowską: *„La Vie de Jesus"* (r. 1863). W dwadzieścia lat potem straszono dorosłe dzieci—Dawida Fryderyka Straussa: *„Das Leben Jesus"*. Potem przyszła grupa berlińskich uczonych religjologów, assyrjologów, historyków Judei z Drewsem na czele, Kalthoffem, Harnackiem i uczniem Harnacka prof. Litzmannem (era: Bebel, Bibel, Babel). We Francji, obok czystego choć zuchwałego Dupuis, wyłazi brudas, łgarz i oszust z familji zbogaconych Panamczyków, Reinachów i ten, stale na oszustwach historycznych wyłapywany i kompromitowany, w szeregu ośmieszonych wielotomowych elukubracyj pseudonaukowych wydaje w r. 1925 swego „Orfeusza, czyli historję powszechną religji", gdzie bezczelnie prowokująco analizuje i trawestuje „mitologję" (*sic*) chrześcijaństwa. *Opus* Panamczyka, przezwanego podczas wojny „Reinachberlin" (z powodu sympatyj prusackich), przetłumaczone na polski (w r. 1929) stało się *biblia pauperum*, to jest encyklopedją i ewangelją agnostycyzmu dla tych wszystkich mniej, więcej lub bardzo utalentowanych samouków (Spasowki, Hulka Laskowski, Wasserzug, Makuch, Owsianka, Stpiczyński, Rzymowski, T. W. Długoszowski, *et cetera*); niejeden ciemnogrodzki i Elity gwiazdor z tego tylko „Orfeusza" Reinacha - Panamczyka czerpał całą swą oświatę, oświecenie i impet do pogromu „klerykałów". Wobec tego, kiedy „Orfeusz" wyszarzały i spłowiały prędko się wyczerpał, zdecydowały żydy dać polskim agnostykom i bezbożnicom jakąś nową pożyczkę mózgową i świeży materjał, z któregoby panowie Stpiczyńscy mogli czerpać swoje zabawnie „serjozne", „uczone" wywody.

Najpierw więc rzucili na rynek dzieło o Jezusie tego eskroka i aziefa, Emila Ludwiga Cohna, w sam raz dla poziomu waletów i solenizantów. Gdy atoli łajdacki paszkwil, wydany przez gangsteroski nakład: *„Renaissance"*, nie miał powodzenia, namyślano się, czy z kolei wydać: „prof." Freuda świeżą „psychoanalizę" Chrystjanizmu, czy też Klausnera hebrajski *„Jejszu Hanocri"* i wreszcie zaryzykowano zdobyć się jednak na najskrajniejszą prowokację chrześcijańskiej ludności w katolickim kraju i przetłumaczono historyczną „objektywną" pracę tego odeskiego bluźniercy.

No i teraz postawmy sprawę jasno.

Przypomnijmy sobie, jak surową reakcję i odprawę w społeczeństwie swego czasu wywołały „Legendy" Niemojewskiego i z jaką dynamiką indygnacji wystąpił przeciw namiętnemu, ale uczciwemu badaczowi - deiście zamordowany przez bolszewików poeta Miciński.

Tymczasem tak Niemojewskiego można było spokojnie czytać, jak można było czytać Renana, Straussa, nawet Artura Drewsa (*„Chrystusmythe"*), natomiast już Emil Ludwig (Cohn) zasłużył rzetelnie nie tylko na całopalenie, ale na baty, pręgierz i ewentualnie suchszą gałąź.

Atoli dopiero takie „dzieła" jak Klausnera—wyprzedzają i przyśpieszają nowe „średniowiecze", nową inkwizycję, która najniechybniej przyjdzie, o ile prowokacjom w porę nie położy się tamy, a prowokatorów nie unieszkodliwi, nie zaknebluje.

Dla dowodu, dla przykładu damy tu z tekstu tylko jedną próbkę, wybrawszy jeszcze cenzuralnie dopuszczalną i dopuszczoną:

> „Jeżeli zbierzemy wszystko, cośmy dotąd przytoczyli, okaże się, że talmud zawiera dwa rodzaje tekstów, mających związek z Jezusem:
>
> a) Wiarygodne wiadomości historyczne: że nazywał się Jeszua (Jeszu) Hanocri, że uprawiał czary (t. zn. dokonywał cudów, jak to było w zwyczaju owego czasu), zwodził i sprowadzał Izraela z drogi; że naśmiewał się ze słów mędrców; że interpretował wersety biblijne jak faryzeusze, że miał pięciu uczniów; że powiedział, iż nie przyszedł, by ująć z zakonu, ani by przydać do niego; że został powieszony (ukrzyżowany) w przededniu święta Pesach, które przypadało na sobotę, jako zwodziciel; że uczniowie leczyli chorych jego imieniem.
>
> b) Tendencyjne lub wątpliwe wiadomości: że był nieślubnem dzieckiem „cudzołożnicy", którego ojcem był „Pandera" wzgl. „Pantera"; że herold ogłaszał przez 40 dni przed jego ukrzyżowaniem, za co go skazano na śmierć, aby ktoś mógł dlań wynaleźć usprawiedliwienie — i taki człowiek nie znalazł się; że jest wątpliwe, czy on ma udział w życiu wiecznem".

Podobne i gorsze rzeczy drukowało się po polsku w stolicy narodu, którego dotychczas dobre 90% śpiewa: „Królowo Korony Polskiej"...

Konfiskata tedy przyszła najzasłużeńsza, ale z pewnem opóźnieniem, podczas kiedy przeważnie konfiskaty stosowane bywają z wzorową punktualnością.

W interesie spokoju w państwie dobrzeby więc było, aby z tem szelmostwem prowokującem postępować jednak mniej ceremonjalnie. Choćby dla dobra żydów jako całości.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Podsłuchane w cukierni.

— Niechże się młodzi popatrzą na tę fotografję: „Weterani z r. 1863 w Pradze". Przecież to chłop w chłopa, jak się patrzy. Ktoby pomyślał, że to przecież 70 lat temu walczyli. Każdy ma od 90 do stu lat wieku i oto bomblują sobie w Pradze...

— A dzisiejszy urodził się w tem stuleciu i już na emeryturze, idzie, panie, w „stan spoczynku". Nasi spoczynku nie znali. To było pokolenie!

— Ba, niechże się poniektóry starszy ożeni, to dzisiejsze kobiety się śmieją, nie dają mu wiary.

— Najgorszy to ten brak zaufania.

Dalej mówiono już szeptem.

*

Powiadają, że „koryto" i „łożysko" — to synonimy. A jednak weźmy dla przykładu „sanację": ona ma koryto, ale łożyska nie ma. Łożyska dziejowego.

TREŚĆ:

Siły moralne *Z. Raczkowskiego*. — Zajścia w Poczajowie *J. Giertycha*. — „Rozmowy" Mickiewicza *L. Podhorskiego-Okołowa*. — Żyd Fryderyka Schillera *Wł. Tarnawskiego*. — Rocznica Stwosza *J. Sasa - Zubrzyckiego*. — Deotyma do młodzieży *M. B.* — Na widowni *J. Rembielińskiego*. — Głosy. — Nauka i literatura („Obraz na cynku wystawiony" *Quincunxa* i t. d.). — Teatr *W.* i *Zastępcy*. — Film *Kandyda*. — W rozmównicy *M Pawlikowskiego*. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.